

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

PRZEDZIWNY UNIWERSYTET*

Któregoś dnia, w czerwcu roku 1951, wszedłem na uniwersytecki dziedziniec z uczuciem, którego dziś nie potrafię odtworzyć. Pewnie zawierało się w nim trochę obaw, wiele emocji i respektu. Byłem świeżo upieczonym maturzystą, jeszcze bez świadectwa dojrzałości w kieszeni: siedemnastolatek w szkolnej rogatywce tradycyjnie haftowanej – z dumną nazwą *Academia Zamoscensis*. Wracałem przez Lublin ze szkolnej wycieczki nad morze. Dano nam parę wolnych godzin. Poszedłem spacerkiem w Aleje Raławickie.



A tam Uniwersytet! Tajemnicze, wspaniałe, dostojnie brzmiące słowo. Znałem je od niepamiętnych czasów. Babcia od dawna wbijała mi do głowy, że kiedyś będę musiał „pójść na uniwersytet”, „skończyć uniwersytet”. Nie wyobrażałem sobie, że mogłoby być inaczej. Być studentem znaczyło dla mnie bardzo wiele: wejść w krąg wielkiego wtajemniczenia, stać się kimś ważnym, cenionym i poważanym: „Student!” – będą ludzie szeptać z respektem i zazdrością.

Uniwersytet – jakiś tam, uniwersytet w ogóle – wyobrażałem sobie jako dosyć ponure gmaszysko, gdzie w wielkich i koniecznie ciemnawych salach dostojni, siwi profesorowie obdarzają studentów okruchami swej wiedzy. Nasz uniwersytet – jak pisałem wyżej – obejrzałem latem roku 1949. Niedługo potem zaplanowałem, że będę tu studiował historię. Na państwowy uniwersytet i tak bym się nie dostał.

Wtedy więc, w czerwcu roku 1951, odnalazłem dziekanat Wydziału Nauk Humanistycznych, na parterze, we wschodnim skrzydle. Uzyskałem tam

Dr BOHDAN KRÓLIKOWSKI – absolwent filologii polskiej i wieloletni pracownik KUL, doktor nauk humanistycznych, prozaik i publicysta, członek korespondent Wydziału Historyczno-Filologicznego TN KUL.

* Tekst opublikowany wcześniej w: B. KRÓLIKOWSKI, *Grzechy pamięci*, Warszawa: IW Pax 2002, s. 201-247. Tu przedrukowywany z małymi uzupełnieniami i korektami.

informacje i formularze, które należało złożyć po wypełnieniu, dodając świadectwo dojrzałości, metrykę chrztu i jakieś tam jeszcze zaświadczenia, wśród nich świadectwo odbytych badań lekarskich (jeździło się na nie do Lublina całą klasą, trwały wiele godzin). Na koniec jedna z urzędniczek podała mi formularz dla starających się o miejsce w domu akademickim. Wziąłem raczej przez grzeczność. Nie miałem zamiaru mieszkać w „internacie”; przebywanie wśród kilku czy kilkunastu obcych ludzi wydawało mi się czymś okropnym.

Przed wysłaniem papierów do dziekanatu – po powrocie do Zamościa – wpadł mi w ręce informator dla kandydatów na studia. Przypadek, który zdecydował o moim życiu. Podawano tam możliwości zatrudnienia po każdym kierunku studiów. Dla historyków niewiele: szkoła, biblioteka, archiwum... i tyle. Za to po polonistyce! Czego tam nie było! Co prawda na początku też straszyla szkoła i biblioteka, ale za to potem – istna litania pokus: radio, teatr, wydawnictwa, redakcje czasopism i jeszcze, i jeszcze – tylko wybierać.

Wysłałem zatem papiery na filologię polską. Nie mam pojęcia, czemu nie brałem pod uwagę możliwości studiowania historii sztuki. Po wielu latach zrozumiałem jednak, że mimo zainteresowań historią i historią sztuki dokonałem słusznego wyboru. Odbyłem kiedyś, wiele lat potem, rozmowę z profesorem Stefanem Sawickim na temat studiów humanistycznych. Konkluzja była taka, że studiowanie historii sztuki jest ciekawe i przyjemne, historii – pożyteczne, jednakże umysłowość studenta najbardziej rozwijają studia filologiczne. Inna sprawa, że należałoby je trochę zreformować.

A historykiem (raczej historykiem wojskowości) i tak potem zostałem, choćby tylko we własnym mniemaniu. Przytoczę tu jeszcze pogląd profesor Ireny Sławińskiej, często przedstawiany nam na seminarium: „studia nie dają wiedzy, tylko metodę jej zdobywania”, czego, rzecz jasna, nie można było traktować tak całkiem dosłownie.

Uniwersytet w roku 1951 był dostojnym, choć nieco zaniedbanym gmachem. Tynki chyba z lat dwudziestych, na zewnątrz pomazane w zielone i bure ciapki, z roku 1939, dla ochrony przed niemieckim lotnictwem. Na dziedzińcu skrzydło południowe osłonięte rusztowaniami, które stały jeszcze potem przez kilka lat. Wewnątrz budynku arkady, krużganki, kilometrowe korytarze, tu i tam sklepienia, rzeźbione kapitele, gzymsy, marmurowe tablice fundacyjne. Do tego liczne klatki schodowe, chyba pięć (potem dwie z nich zamieniono na sale wykładowe), skrzypiące drewniane schody, balustrady, toczony słupki.

Skrzydło frontowe, najstarsze, jednopiętrowe ze sklepioną bramą wejściową, skrzydła boczne dwupiętrowe, nad tylnym, południowym – jak i dziś – tzw. ambona, trzecie piętro tylko w części środkowej. Otoczenie też całkiem inne od dzisiejszego. Stary konwikt i baraki, murowane z carskich chyba czasów, drewniane – wystawione przez Niemców.

Miasto nieduże, w przedwojennym kształcie, mocno nadszarpniętym przez wojnę. Kończyło się tuż za uniwersytetem; wokół kościoła garnizonego szumiały potężne drzewa. Miasteczko UMCS dopiero zaczynano budować. Ostatnim większym budynkiem na zachód od uniwersytetu – prócz koszar – było gimnazjum im. Stanisława Staszica, przy którym znajdował się końcowy przystanek autobusów. Trolejbusów jeszcze nie wprowadzono.

Spośród moich późniejszych kolegów niewielu zapewne składało papiery na KUL w czerwcu. Większość próbowała szczęścia w innych uniwersytetach czy szkołach wyższych, gdzie egzaminy były bodajże na początku lipca, a nierzadko też na innych kierunkach studiów (ci, gdy tylko mogli, po pierwszym roku odchodzili na swoją medycynę, stomatologię czy ekonomię, byli i tacy, co z naszej polonistyki przenosili się na „państwową”).

Na Uniwersytecie nie było wówczas egzaminów wstępnych. Do roku 1950 na wszystkie wydziały przyjmowano na podstawie świadectwa dojrzałości, i to tylu kandydatów, ilu się zgłosiło (limity zostały narzucone przez władze państwowe w roku 1952). W roku 1951 na Wydziale Nauk Humanistycznych wprowadzono jednak tzw. kolokwia sprawdzające, które odbyły się we wrześniu (od roku 1952 były to już normalne egzaminy wstępne).

Trwały one kilka dni, może tydzień. Zrobiło się tłoczno. Pełne korytarze. Ani się przecisnąć. Zjechały tłumy kandydatów na studia, a ponadto liczne rzesze studentów Wydziału Prawa (był on już wtedy skasowany przez władze, istniał bodaj tylko trzeci i czwarty rok), którzy zjawiali się na ogół w Lublinie tylko na egzaminy, epatując szarą rzeszę humanistów i filozofów swoją elegancją.

Nasze kolokwia sprawdzające rozpoczęły się dla przyszłych polonistów zebraniem w auli. Wydawała mi się wtedy ogromna, pomalowana na ciemny jakiś kolor z dodaniem esów-floresów i górnolotnych sentencji łacińskich, z których trzy zapamiętałem: *In necessariis unitas – In dubiis libertas – In omnium charitas* (w potrzebie jedność – w wątpliwościach dowolność – we wszystkim miłosierdzie).

Kiedyśmy się zebrali w owej auli, był nas tłum nie do przeliczenia. Zapewne ponad trzysta osób. Po chwili na podium wyszła niewiasta w wieku, który wówczas uznałem za co najmniej średni (dziś określiłbym go jako

młodzieńczy, miała bowiem lat 38...), raczej masywna, ubrana skromnie, bez troski o elegancję, uczesana niezbyt starannie. Spojrzała na zebranych. Uśmiechnęła się ironicznie i zaczęła mówić mniej więcej tak: „Proszę państwa (dziwnie brzmiało w jej ustach to słowo, jakby chciała powiedzieć coś całkiem innego), za chwilę rozdaję te oto formularze. Jeżeli ktoś z państwa (znów to ironiczne podkreślenie) starał się uprzednio na inny uniwersytet, na inny kierunek studiów, proszę to napisać”. Dalej nie pamiętam.

Kim była tajemnicza osoba? Myślałem, że to urzędniczka z dziekanatu. Myliłem się. Po kilku tygodniach poznałem prawdę: to profesor Irena Sławińska, oficjalnie jeszcze wtedy tylko zastępca profesora.

Tego jeszcze dnia rozpoczęły się kolokwia. Plan ich wisiał na korytarzu. Wyglądało to mniej więcej tak: słuchaliśmy (chyba w auli?) wykładów, a potem, tego samego dnia – w mniejszych salach, w grupach pilnowanych przez asystentów – pisaliśmy ich streszczenia. O ile pamiętam, wygłoszono dla nas trzy czy cztery wykłady (po jednym dziennie). Doktor Jan Słomkowski omawiał jakieś zagadnienia z zakresu literatury staropolskiej, profesor Feliks Araszkiwicz mówił o działalności Stanisława Witkiewicza, a doktor Maria Kossowska przedstawiała coś tam z gramatyki opisowej (o ile dobrze pamiętam, profesor Tadeusz Brajerski nie miał dla nas wtedy wykładu).

Prócz tego, któregoś dnia, mieliśmy opracować wolny temat – napisać charakterystykę czy recenzję dowolnie wybranej książki, polskiej lub tłumaczonej. Pisałem tę pracę w sali nr 29, a może 17, pod okiem jegomościa w granatowym ubraniu, ale bez krawata, w tzw. kamaszach, siwiejącego, bardzo krótko ostrzyżonego, z wydatnym nosem, wyrażającego się w sposób wyszukany, z patosem. Niedługo potem poznałem jego stopień, nazwisko, funkcję i stan cywilny: doktor Jerzy Starnawski, starszy asystent, od niedawna żonaty z naszą starszą koleżanką. Jej nazwisko panińskie nic by mi wówczas nie powiedziało: była z domu Jaruzelska, z „tych” Jaruzelskich.

Pisałem o *Kluczach królestwa* Cronina. Wyobraziłem sobie, że skoro uniwersytet katolicki, trzeba wziąć za przedmiot pracy książkę katolickiego autora. Pilnujący nas jegomość zapytał mnie zresztą, o czym piszę (nie zwracał się z tym pytaniem do wszystkich), a usłyszawszy, uśmiechnął się i powiedział: „Bardzo dobrze”.

Na drugi czy może trzeci dzień potem wywieszono listy tych spośród nas, którzy mieli stawić się na dodatkowe kolokwium ustne, a także wykazy przyjętych na podstawie prac pisemnych. Byłem na drugiej liście. Miałem kilkanaście dni wolnych. Wyjechałem z ojczymem pod Włodawę, gdzie pro-

wadził on pomiary w na wpół opuszczonej wsi, a ja zbijałem bąki, objadałem się śliwkami w bezpieczeństwańskich sadach i wysłuchiwałem opowieści starego wieśniaka, u którego mieszkaliśmy. W drodze z Lublina na wieś widziałem z okien autobusu zmotoryzowaną kolumnę KBW (Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego). Nie wiem, czy jechali tępić „bandy”, czy może pacyfikować wsie niepoddające się kolektywizacji.

Wróciłem 1 października, już jako pełnoprawny student, choć jeszcze bez czapki uniwersyteckiej, które wtedy powszechnie noszono (paradowała też część studenterii, tzw. bikiniarze, w kapeluszach; berety były jeszcze nie w modzie, a cyklistówki uchodziły za coś w gorszym gatunku).

Już w czasie kolokwiów sprawdzających zamieszkałem w domu akademickim (a jednak!), do którego przyjęto mnie na stałe dopiero w październiku. Wielki, okazały gmach przy ulicy wówczas Wyszyńskiego, później Sławińskiego, teraz – jak pierwotnie – Niecałej (ulica kończy się skarpą, nie jest przejezdna), z fasadą z czerwonej cegły zdobioną obramowaniami okien z piaskowca i rzeźbionymi (może to zresztą sztukaterie) rozetami, był wówczas tylko dwupiętrowy (potem dobudowano trzecie piętro i drugą oficynę, a ostatnio jeszcze rząd facjatek), ale za to posiadał balkony (po latach usunięte).

Przy bramie (jak i teraz) wisiała na ścianie czarna tabliczka z napisem: „Dom Akademicki Uniwersytetu Lubelskiego fundacji Stanisława Wessla – 1919”. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że ów pan Wessel, jeden z dobrodziejów naszego uniwersytetu, pochodził – mimo niemieckiego nazwiska – z polskiej rodziny senatorskiej.

Wszedłem do środka bez entuzjazmu. Pomimo zewnętrznej staroświeckiej dostojności wewnątrz wydawało się szare, nijakie. Do dziś nie wiem, jakiego koloru były ściany w pokojach. Korytarze ciemne. Skrzypiące drewniane schody. We wnętrzu unosił się osobliwy zapaszek: mieszanina lakieru z kurzem i gazu z przypaloną kawą zbożową, do tego woń dymu tytoniowego, co mi wtedy nie przeszkadzało, chociaż nie byłem palaczem.

Po wstępnych formalnościach skierowano mnie do pokoju nr 26, na pierwszym piętrze. Środek tej komnaty zajmował duży stół z kilkoma krzesłami. W kącie szafa, w drugim piec kaflowy. Wysoko pod sufitem żarówka. Na ścianach krzyż i kilka oprawionych reprodukcji. Łóżek dwanaście: żelazne, piętrowe, jak w koszarach, bez pościeli (trzeba było mieć własną), z pustymi konopnymi siennikami wydzielającymi charakterystyczną woń.

Była tam już grupa kandydatów na studia i jeden student drugiego roku (historyk), gospodarz (otrzymywało się za pełnienie tej funkcji jakieś stypendium). Krępy, średniego wzrostu. Wydawał się energiczny. Nazywał się

Ryszard Janusz Bender. Pierwszą informacją, jakiej mi udzielił, była wiadomość, że słomę do siennika można znaleźć na podwórku.

„Niech pan zdejmie marynarkę!” – dodał praktyczną radę. „Pan”? Takie były obyczaje. Student do studenta nie mówił „per ty” bez formalnego bruderszaftu czy dłuższej zażyłości. Mówiło się: „proszę pana” lub „kolego”, i to – na naszym uniwersytecie – raczej bez „wy”, tylko „niech kolega”, w trzeciej osobie.

Napchałem zatem siennik i posłałem łóżko, przezornie wybrawszy górne. Wisiała nad nim reprodukcja jednego z bardziej znanych obrazów Georgesa Seurata, tyle że wówczas nie znałem tego obrazu ani nazwiska malarza. Nie bardzo wyobrażałem sobie życie w takiej gromadzie, w takich warunkach. Już jednak po kilku dniach przyzwyczaiałem się, a w październiku wróciłem tu jak do domu. Lata spędzone „na Wyszyńskiego” wspominam bardzo mile. Ba! Nawet czasem śni mi się nieokreślony pokój w domu akademickim, żelazne łóżka, rzędy umywalni, jacyś współlokatorzy. Nie są to przykre sny.

Maminsynek i paniczyk raczej by się tu nie osiedziały. Czy stąd wniosek, że nie byłem maminsynkiem? Nie przeszkadzał mi zapaszek gazu, przypalanej kawy i tytoniu. Nawykłem do mycia się w korycie, szeregiem, w zimnej wodzie. Istniały co prawda kabiny z natryskami, ale bez ciepłej wody. Raz tylko w tygodniu jeden z woźnych palił w piecu i można się było wykapać, płacąc złotówkę. To nie była wtedy bagatelna suma w studenckim budżecie: w roku 1951/52 tyle kosztował kilogram razowego chleba (biały – półtora zł), 60 gr płaciło się za „małe jasne” w budce z piwem, a 3,50 za obiad w stołówce uniwersyteckiej. Prócz dużej łazienki były też małe umywalnie na korytarzach, przy ubikacjach, pozostałości po dawnych mieszkaniach.

Było nas zatem dwunastu (na drugim i trzecim roku mieszkałem w mniejszych pokojach, tylko w sześciu, z kilkoma kolegami z owego pierwszego zespołu). Gospodarz nasz ówczesny to znana dziś postać. Cóż można o nim napisać? To chyba, że był to chłopak bardzo ambitny i pracowity. Pochodził z Łomży. Syn nieżyjącego działacza narodowo-demokratycznego. Już wtedy planował, że zrobi karierę polityczną jako chrześcijański demokrat (nie zamierzał zdobywać profesury, chciał tylko mieć doktorat). Planował też małżeństwo i czworo dzieci: Agnieszkę, Bognę, Iwonę i Ładysława. Co dziwnejsze, plan ten zrealizował (choć tylko w trzech czwartych – bez Ładysława). Mieszkałem z nim trzy lata, nawet raz pobiliśmy się. To już coś!

Janusz przyjaźnił się z Antonim Podsiadem z Łomży, Tolkiem, świetnie zapowiadającym się poetą. Był on już wtedy, w roku 1952, po debiucie

książkowym. W kilka lat potem wydał jeszcze jeden tomik wierszy, ale bodajże już ostatni. Pracował potem w Instytucie Wydawniczym Pax. Tolek zaczynał studiować anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim, ale gdy byłem na pierwszym roku, pojawiał się na naszym uniwersytecie, na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej.

Jego pobyty w Lublinie nie były nazbyt częste i skończyły się po paru latach. Zdarzało się w tym czasie, że nocował u nas – w łóżku Janusza, co wtedy bywało normalnym obyczajem. Był to miły chłopak, ale oryginał całą gębą. Miał grono przyjaciół, z których można by złożyć galerię osobliwych typów. Takich studentów dziś już nie ma!

W tym pokoju, na pierwszym roku, mieszkał też z nami bardzo miły i dobry chłopak, Wacek Kamiński z Warszawy. Sierota, sybirak. Syn dowborczyka, kapitana Wojskowego Instytutu Geograficznego. Był kleryk po dwu latach seminarium, studiował filozofię. Po roku wrócił do seminarium, ale – o ile wiem – nie został księdzem, choć był bardzo religijny. Chodził codziennie na siódmą rano na Mszę do kościoła Kapucynów. Przez jakiś czas próbowałem go w tym naśladować.

Zmieniłem wówczas – jedyny raz w życiu – przekonania polityczne. Przestałem być piłsudczykiem, co dotychczas uważałem za nieodzowne dla każdego, kto nie jest komunistą. Dopomógł mi w tym właśnie Wacek Kamiński. Gdy mówiłem mu o Legionach i ich zasługach, replikował, że inni mieli w tym czasie większe zasługi, a potem zapytał mnie, jaka była najliczniejsza organizacja podziemna podczas ostatniej wojny. Odparłem, że Armia Krajowa. On na to: „Zobaczysz, że kiedyś wszyscy będą sądzić, że największe zasługi miała Gwardia Ludowa”.

Na szczęście nie sprawdziło się to w pełni, ale argument przekonał mnie. Zrozumiałem, że opinię społeczną można modelować, że robiono to również w latach trzydziestych. Potem, już po studiach, w ugruntowaniu poglądów dopomogła mi lektura *Myśli nowoczesnego Polaka* i innych prac Romana Dmowskiego. Co nie znaczy, bym identyfikował się z narodową demokracją. Jestem po prostu konserwatystą na silnym podłożu chrześcijańskim. Każdy totalitaryzm i szowinizm jest mi obcy.

Inna postać o barwnym życiorysie, w naszym pokoju, to „Lońka”, Leon Pieczyński, student historii, również sierota, który „repatriował się” z Sowieckiego Sojuza. Wspomnę tu jeszcze Jurka Rebetę z Częstochowy, filozofa pracującego później na naszym uniwersytecie. Było też w tym pokoju dwu polonistów: śpiący na dole pode mną malutki Tadzio Krzeszowski, „Krzesio”, syn kolejarza z Jędrzejowa (na trzecim roku wstąpił do ZMP...), i Sławomir

Bujnowski – z równoległej klasy w naszej szkole zamojskiej – syn pocztowca ze Szczebrzeszyna, chłopak nieśmiały i milczący. Obaj skończyli studia i zostali nauczycielami.

Mieszkało jeszcze z nami dwu historyków z pierwszego roku. Przystojny, wysoki, wysportowany Bolek Podobiński z Łomży, syn zawodowego podoficera, starszego sierżanta, o którego losach nic nie mówił. Straciłem go z oczu po studiach. Drugi historyk, Zenon Zgnilec (pod koniec studiów zmienił nazwisko na Zamczewski), pochodził z Wielączy, wsi pod Zamościem. Chodził do naszej szkoły, do klasy francuskiej, ale maturę uzyskał gdzieś poza Zamościem. Po studiach ożenił się i pracował w szkole.

Wszystkich dwunastu nie pamiętam. Był jeszcze – tylko w pierwszym semestrze – filozof spod Łomży (kolega Bender popierał łomżniaków), Mietek Rybicki, „Piscis”. To, co teraz o nim napiszę, zostało w druku pierwszej wersji tego tekstu usunięte przez cenzurę; pozostawiono tylko słowa: „Nie zawsze było nam tak wesoło” – a po nich słynną informację: „Ustawa z dnia 31 VII 81 o kontroli publikacji...” itd. Zresztą zakwestionowano mi wtedy jeszcze kilka fragmentów, niekorzystnie przedstawiających czasy stalinowskie, choć się od nich niby to odcinano.

Nie znałem jeszcze wtedy *Procesu* Franza Kafki, ale teraz, gdy myślę o wieczornej scenie w naszym pokoju, w lutym roku 1952, przypominają mi się te słowa: „Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany”.

Był późny zimowy wieczór. Za oknami czarno, wietrzno. W drzwi naszego pokoju wsunął ktoś głowę w studenckiej czapce państwowego uniwersytetu. Wywołał Mietka. Akurat wracał z łazienki „Lońka”, człek bywały. Wszedłszy do pokoju, zażartował – jak wtedy myślałem, dziś sędzę, że wiedział:

– UB przyszło po „Piscisa”.

Po chwili wrócił do pokoju Mietek z pochyloną głową. Za nim ten w czapce i kilku jeszcze ponurych typów. Przywódca grupy, tenże „student”, pokazał jakąś legitymację gospodarzowi naszego pokoju. Milczeliśmy. Oni też nierozmowni. Wzięli się do rewidowania półki Mietka.

– A gdzie wasze listy? – pytał „student”.

– Niszczę. Taki mam zwyczaj – odparł „Piscis” dosyć hardo.

Funkcjonariuszom spodobało się czemuś zrewidować szafkę naszego gospodarza. Na wierzchu leżał rękopis zatytułowany „Siły zbrojne...” Rzucili się jak sępy. Niestety. Dalsze słowa tytułu brzmiały nie tak dla nich ciekawie: „...w Insurekcji Kościuszkowskiej”. Emocje opadły.

Trząśłem się ze strachu. Czego bo to nie opowiadano o UB! Miałem też za sobą miłą rozmowę w zamojskim „bezpieczeństwie”. Mój lęk zauważył kierujący akcją. Psycholog!

– A kolegi to która szafka? – zapytał ironicznie. Oczka miał świńskie, maluśkie, a jeszcze przymrużone. Wskazałem swoją półkę.

– Przejrzyć! – rzucił do swoich. Niczego takiego nie znaleźli. Nie było. Tymczasem skończyła się rewizja rzeczy „Piscisa”.

– No! Ubierajcie się – skinął na niego starszy ubek.

– Dlaczego? – bronił się Mietek. – Przecież niczego u mnie nie znaleźli!

Józef K. pytał podobnie: „Jakże mogę być aresztowany? I do tego w taki sposób?”

– Ubierać się! – padło ostro zamiast odpowiedzi. – Mamy was za głowę ciągnąć? – „Na takie pytania nie udzielamy odpowiedzi”.

To też z *Procesu*. Czyżby Kafka przeczuwał czasy stalinowskie?

Ubrał się „Piscis”. Pożegnał z nami. Poszli. Okazało się (któryś z nas wyjrzał oknem), że przed domem czekało ubezpieczenie „grupy operacyjnej”. Jeszcze kilku. Na wszelki wypadek... Czegóż się spodziewali? Zbrojnego oporu? Śmiechu warte. Ich szefa widywałem potem na ulicy przez wiele lat. Dziś pewnie pobiera sutą, kombatancką emeryturę. Wiadomo!

Po kilku dniach dwu naszych kolegów (Wacek Kamiński i chyba Jurek Rebeta) zebrało się na odwagę. Zanieśli do UB paczkę dla aresztowanego: bieliznę na zmianę, sweter... Nie przyjęto. Nie udzielono też żadnej informacji o naszym Mietku. Kamień w wodę!

W kilka miesięcy potem Janusz Bender przywiózł z Łomży wiadomość od rodziców „Piscisa”; skazano go na siedem lat więzienia, za „współpracę z obcym wywiadem”. Gdy byłem na czwartym roku, spotkałem kiedyś Mietka na korytarzu uniwersyteckim. Zwolniony został wcześniej, po jakiejś tam „amnestii”. Wrócił na studia, ale na anglistykę. Po jej ukończeniu pracował w ambasadzie Stanów Zjednoczonych.

Tak więc nie zawsze było nam wesoło. Czasy ponure, ciężkie, żadnych perspektyw. Więzienia pełne. Gazety wciąż pisały o kolejnych procesach politycznych. Trzecia wojna światowa wisiała w powietrzu, trwały walki w Korei. Zresztą – co tu ukrywać! – czekaliśmy na wojnę. Wydawało się, że ktoś tam, bezboleśnie (jedna bomba atomowa w Moskwę...), załatwi za nas wszystkie sprawy, że „wrócą nasi, będzie fajnie, potopimy gnojników w łajnie” – jak pisał jeszcze w liceum jeden z naszych kolegów. Nie potopiliśmy. Postawiono „grubą kreskę”.

Na naszej ulicy mieściło się jakieś biuro wojskowe. Codziennie po południu wychodziło stamtąd kilku oficerów, w tym dwie kobiety. Urzędowali tam również oficerowie sowieccy. Jednego z nich spotkałem kiedyś w sklepie, dokąd poszedłem po chleb czy zbożową kawę. A on prosił o *ciwertku spirta i etot sok* – tu wskazał na stugramową buteleczkę. Miał z tego niezbyt mocny koktajl. Ledwie 57% alkoholu. Cóż to znaczy dla krasnoarmiejca!

Była tam, w tym jakimś biurze, także grupa żołnierzy sowieckich, żołdatów. Chodzili zawsze do miasta w szyku wojskowym, dwójkami, nawet gdy było ich – powiedzmy – ledwie ośmiu. Jeden w drugiego prawie karszelki. Ale co okupanci, to okupanci. Takie były nasze lata studenckie.

Młodość ma jednak swoje prawa. Mimo wszystko na ogół żyliśmy wesoło w tym naszym świątku. Nie przejmowaliśmy się zapaszkiem przypalanej kawy, koszarową izbą, zimną wodą w łazience i koniną na obiad w stołówce. Chadzaliśmy do kina (wybór był niewielki: „Apollo”, późniejsze „Wyzwolenie”, „Bałtyk”, przechrzczony potem na „Robotnik”, i maleńkie „Rialto” w gmachu teatru z czasów stanisławowskich, niedługo potem przemianowane na „Staromiejskie”), do teatru na wszystkie przedstawienia, czasem do operetki czy na koncerty.

Dużo dyskutowaliśmy *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, w czym celował kolega Bender, uważający się już wtedy za polityka (gdyby ubecja mogła słyszeć nasze dyskusje, aresztowano by pewnie nas wszystkich...). Grywaliśmy w karty – na pierwszym roku w tysiąca, na drugim w 66, a gdy byłem na trzecim, ktoś przywiózł z wakacji umiejętność „boskiej gry” (określenie Kornela Makuszyńskiego), czyli *bridge’a*, po prostu: brydża.

Także i w domu akademickim dbano o nasze „życie kulturalne”. Kierownikiem był wtedy Jerzy Szyłkiewicz, student historii sztuki, wilnianin, znajomy moich kuzynów. Zorganizował on dla nas kilka wieczorów z pogadankami czy też odczytami. Cykl ten rozpoczął kurator domu, uroczy starszy pan, dr Wacław Staszewski, fizyk pracujący na naszym uniwersytecie, który przez dwa czy trzy wieczory gawędził o swoich wyprawach zagranicznych, do Niemiec, na studia, przed pierwszą wojną, i do Anglii, do pracy naukowej, tuż po tamtej wojnie.

Mieliśmy też spotkania z profesorem Stanisławem Łosiem i Jerzym Kalinowskim, z doktorem Jerzym Strojnowskim, który mówił... o niedopuszczalności przerywania ciąży. Pamiętam również wieczór z młodym wówczas księdzem Włodzimierzem Sedlakiem, w tamtych latach popularnym w Lublinie duszpasterzem młodzieży (nie ogłaszał jeszcze swojej „teo-

rii silicidów”). Więcej tych spotkań nie zapamiętałem. Może się potem urwały? Szkoda.

Wieczorem klękaliśmy do pacierzy, chadzaliśmy do kościoła Akademickiego na niedzielne Msze, na nabożeństwa majowe, na rekolekcje (kościółek pękał w szwach, tłum stawał jeszcze na placu – dziś, w o ileż większym uniwersytecie, wypełniają go w niedzielę raczej... emeryci). Najcięższym przekleństwem była u nas „cholera”; tak, trudno dziś w to uwierzyć. Nie wysiadaliśmy po kawiarniach, były zresztą wtedy w mieście zaledwie dwie czy trzy. Pijaliśmy czasem piwo w narożnych budkach, przy wyjątkowych okazjach trochę owocowego wina, *c'est tout*. Może trafiłem do jakiejś osobliwej grupy?

Autorytetem był dla nas duszpasterz akademicki, ks. Jerzy Mirewicz TJ, uznawany za wspaniałego kaznodzieję. Ktoś kiedyś powiedział, że nazywa się on Wójcik. Istotnie, gdy w wiele lat potem umarł w dalekim Rzymie (jako autor wielu audycji w Radio Watykańskim, wydawanych w zbiorach przez londyńską Oficynę Poetów i Malarzy), na klepsydrze podano właściwe nazwisko, Bronisław Wójcik, obok tego, którego używał.

O domu akademickim wiele by można pisać. Warto chyba nawet zebrać ileś tam wspomnień dawnych jego mieszkańców i wydać je w książce. Był to bowiem osobny mały światek, oryginalny, ciekawy, barwny. Istniała jeszcze wtedy kategoria wiecznych studentów. Niektórzy z nich mieli siwe włosy, inni bujną przeszłość, byli i tacy, co zjawiali się raz na kilka lat, jak choćby nieżyjący już historyk, Jacek Koneczny, wnuk profesora Feliksa Konecznego, który aż do śmierci nie zdążył zrobić magisterium, mimo niepoślednich zdolności.

Ileż jeszcze osobliwych postaci! Ilu mieszkało tam znanych potem ludzi: redaktorów, profesorów, ministrów, poetów... Była też grupka Ślązaków, „autochtonów”, studiujących germanistykę. Rozmawiali między sobą po niemiecku. O jednym z nich, inwalidzie bez dłoni, szeptano, że był w Wehrmachcie, gdzie otrzymał *Eiserne Kreuz*. Wyjechał zresztą potem do Niemiec Zachodnich.

Były to lata pracowite, owe cztery z kawałkiem piątego, na Przedziwnym Uniwersytecie. Na pierwszym roku mieliśmy aż 40 godzin zajęć tygodniowo. W sobotę też. Niewyobrażalne! Do tego stopy lektur. Odpowiednio dużo egzaminów i kolokwiów. Nie rozpieszczano nas, jak dzisiejszych studentów.

Uroczysta immatrykulacja odbyła się na początku października. Pierwsze lata wszystkich kierunków studiów zatłoczyły aulę do granic wytrzymałości starych ścian. Chór odśpiewał *Gaudeamus*, potem *Gaude Mater Polonia*...

(że to niby my, pierwszacy, mamy być dla Najjaśniejszej powodem do radości?) i – nareszcie po polsku – „O, polski kraju święty, warowny grodzie nasz, o, jakże niepojęty ty dla nas urok masz ...”. Słuchałem z zapartym tchem. Nigdy dotąd nie słyszałem takich pieśni, takiego chóru.

Prowadził tę uroczystość starszy nasz kolega, Stefan Zarębski, prezes Koła Polonistów, chodzący w glorii wielkiego talentu. Rektora, księdza Antoniego Słomkowskiego, nie było. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że został aresztowany. Zastępował go ksiądz dziekan Józef Pastuszka, w majestacie togi, biretu i łańcucha, w asyście odpowiednio ubranych pedlów z berłami w garściach, nazywany przez kolegę Zarębskiego Jego Magnificencją.

Wystąpiło też czterech dziekanów: humanistyki, filozofii, teologii i prawa kanonicznego, z których każdy ścisnął dłonie kilkusobowej delegacji nowych studentów. Czteroosobową grupę z naszego roku wybrał doktor Starnawski. Pewnie moje przedwojenne ubranie – ostatnie po Ojcu – zdecydowało o tym, że spotkał mnie zaszczyt uściśnięcia ręki dziekana, poczciwego starszka, profesora Aleksandra Kossowskiego, zwanego „dziadkiem Kosioskim”, mówił bowiem taką miękką polszczyzną. Prócz mnie do tej grupki wybrano Wiesława Grabowskiego – potem jednego z luminary naszego rocznika – i nieżyjącego już od lat Andrzeja Gawrońskiego. Prócz nas trzech – należało od tego zacząć – do owej delegacji należała bardzo urodziwa koleżanka, Danuta Sławińska.

Nie wręczono nam indeksów (mieliśmy, i to tylko na sesje, „karty indeksowe”). Starych – uroczystych w swej łacinie: *Nos, Rector et Decanus Facultatis... etc.*, pięknie oprawnych w płótno – zabrakło, nowe dano dopiero na trzecim roku. Nie pamiętam też, byśmy wtedy składali jakieś ślubowanie.

Inauguracja – tradycyjnie, w drugą niedzielę listopada, wtedy bowiem odprawiono ją w roku 1918 – była dla mnie równie wielkim przeżyciem. Najpierw Msza w kościele Akademickim. Stałem w tłumie na zewnątrz. Z przejściem wsłuchiwałem się w słowa kazania, które wygłosił ksiądz prymas, jeszcze nie kardynał, ale już Wyszyński.

Ewangelia na ten dzień mówiła o burzy na morzu. Ksiądz prymas rozwijał ten motyw. A z jaką szczególną intonacją uspokajał nas: „Chrystus jest w łodzi”! Brałem (braliśmy?) to za aluzję do naszej sytuacji, za pociechę, tak wtedy potrzebną. Chyba bym nie uwierzył, gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że za lat raptem 28 ten sam prymas witać będzie w Warszawie Papieża-Polaka!

Z samej inauguracji niewiele pamiętam (może stałem na korytarzu?). Znów togi, łańcuchy i berła, znów te wspaniałe pieśni. A jeszcze prymas.

Delegacja Episkopatu. Przez tłum przeciskał się kolega Bender. Inicjował okrzyki: „Ksiądz Prymas niech żyje”, „Episkopat Polski niech żyje!” itd. – ochoczo podchwytywane przez tłum.

Wykład inauguracyjny, z zakresu prawa, wygłosił profesor Zdzisław Papierkowski, późniejszy wieloletni prorektor. Słuchałem z zainteresowaniem. Mówił dobrze i ciekawie. Nowego rektora jeszcze nie było. Chyba dopiero po Nowym Roku pojawił się w tej roli ksiądz Józef Iwanicki, matematyk, „patriota”, popierany przez Bolesława Piaseckiego. Nowy rektor nie był wśród nas popularny, rzadko zresztą można go było zobaczyć.

Chciałbym wreszcie zacząć wspominać naszą studencką codzienność. Początkowo, mając godzinę czy dwie przerwy między zajęciami, wracałem do domu, na wypoczynek czy partyjkę ping-ponga (grywaliśmy na zwykłym stole, bez siatki, okładkami brulionów zamiast raketek...), rychło jednak doszedłem do wniosku, że to strata czasu. Tyle jest przecież do czytania! Siadywało się więc podczas przerw w Zakładzie Historii Literatury Polskiej – na pierwszym piętrze, we frontowym skrzydle – czytając którąś z lektur czy ucząc się z podręcznika.

Nasza sekcja miała wówczas trzy jeszcze „zakłady”: przede wszystkim Borowianum – salę z księgozbiorem po profesorze Waławie Borowym (opisanym potem w „Tygodniku Powszechnym” przez Andrzeja Paluchowskiego) oraz Chrzanowianum – nieduży pokój z dostojnym, pięknie oprawionym księgozbiorem profesora Ignacego Chrzanowskiego – oba naprzeciw Zakładu Historii Literatury. Obok Chrzanowianum był jeszcze osobny pokój profesorski. Poza tym Zakład Języka Polskiego (gdzie, niestety, bywałem bardzo rzadko) – na drugim piętrze, w południowym skrzydle.

Na co dzień, zwłaszcza w pierwszych latach studiów, siadało się zazwyczaj w Zakładzie Historii Literatury, choć bywało tam tłoczno i na ogół nie nazbyt cicho. Czasem pożyczano się książkę, po czym szukało się ciszy i wolnego miejsca w Zakładzie Teologii czy Prawa Kanonicznego, gdzie było pustawo. Latem szło się uczyć do parku lub na dziedziniec uniwersytecki. Wyjątkowo tylko chodziło się na Chopina, do Biblioteki Głównej – ogromna sala, aż 66 miejsc! Odwiedzałem też niekiedy miłą czytelnię Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego.

Na trzecim i czwartym roku bywałem z przyjaciółmi głównie w Borowianum. Był to duży, jasny pokój, z oknami na zachód, w narożnej części gmachu, otoczony półkami pełnymi książek i czasopism w układzie nadanym przez poprzedniego właściciela (tak też wyglądało Chrzanowianum, gdzie raczej nie siadywałem). Nie ma już dziś żadnej z tych sal ani tej części gmachu. Szkoda!

W Borowianum panowała niepowtarzalna atmosfera. Nie trzeba było korzystać z katalogu. Książek szukało się na półkach, nie zawsze nawet zyskując formalnie u dyżurnego kolegi-bibliotekarza (to też rodzaj stypendium) prawo do ich wykorzystania. Miejsc tam było niezbyt wiele. Przychodzili stali bywalcy, poloniści ze starszych lat, smakosze książkowi, czasem też angiści, bo i angielskie książki miał profesor Borowy.

Cóż to za satysfakcja – podejść do półki profesorskiego księgozbioru i wyławiać z niej książki. Każda opatrzona ołówkowym, ozdobnym inicjałem „WB” i datą nabycia, niektóre z ciekawymi dedykacjami. Większość książek w twardych oprawkach. Wiele cennych, pierwszych wydań. Roczniki krakowskiego „Życia”, „Wiadomości Literackich” i innych czasopism. Aż dziw, że pozwalano z tej skarbnicy korzystać studentom.

Na monotonię zajęć w pierwszym roku studiów nie mogliśmy narzekać. Mieliśmy wykłady z literatury staropolskiej, które w sposób raczej szkolarski prowadził doktor Jan Słomkowski, literaturę współczesną (od Młodej Polski) z profesorem Feliksem Araszkiewiczem, gramatykę starocerkiewną, której barw dodawał kochany profesor Tadeusz Brajerski (na każdy przypadek miał w zanadrzu, jako niezawodny przykład, słowo „vlk” – wilk; mówił nawet po jakimś czasie: „weźmy tego nieszczęsnego vlka”), gramatykę opisową z doktor Marią Kossowską, wytrawną nauczycielką tego przedmiotu.

W pierwszym semestrze doktor Leokadia Małunowiczówna wprowadzała nas bardzo emocjonalnie w tajniki literatury starożytnych Greków i Rzymian, w drugim – profesor Sławińska wykładała literaturę powszechną, średniowieczną, a raczej jej wybrane zagadnienia. Były jeszcze wykłady z historii Polski, które bardzo interesująco prowadził doktor Henryk Zins, zmarły w 1975 roku jako profesor UMCS. A jeszcze przedmioty filozoficzne: wstęp do filozofii, z porywającym wykładowcą, księdzem profesorem Pastuszką, i etyka z księdzem Józefem Kellerem, który po paru latach zrzucił sutannę i został profesorem religioznawstwa w PAN.

Do tego jeszcze proseminarium z literatury staropolskiej. Byłem w grupie doktora Słomkowskiego. Wypełnialiśmy po brzegi salę 29, ale w dyskusjach uczestniczyło niewiele. Często odzywał się Andrzej Paluchowski, zawsze zastrzegając się, że ma tylko „parę uwag w kwestii formalnej”. Pierwszy referat (o *Bogurodzicy*) wygłosił mój późniejszy przyjaciel, nieżyjący już Edek Klein. Niedługo potem doktor Słomkowski wysoko ocenił pracę (nie pamiętam o czym) Michała Lesiowa. Ja pisałem o *Krótkiej rozprawie...* Mikołaja Reja.

Mieliśmy też ćwiczenia z obu gramatyk oraz ze wstępu do nauk pomocniczych historii literatury polskiej – raczej wykłady, bo tak je traktował doktor Starnawski. Bardzo szeroki był zakres owych ćwiczeń, godna podziwu erudycja prowadzącego; wiele z nich skorzystałem. Kiedy w roku 1976 przygotowywałem się – w dziewięć lat po doktoracie – do państwowego egzaminu z bibliologii i bibliografii, uprawniającego do uzyskania tytułu kustosza dyplomowanego, stwierdziłem, że mnóstwo rzeczy pamiętam: to był plon ćwiczeń u Jureczka (tak nazywaliśmy pana starszego asystenta, bardzo lubianego, mimo swoich śmieszności i – powiedzmy szczerze – dziwactw).

Kolokwium u niego zdawałem jakoś tak w połowie roku, nie mam pojęcia dlaczego, bo ćwiczenia trwały bodajże cały rok. Zgłosiłem się przed terminem. Ćwiczenia były dwugodzinne, od godziny siódmej rano, z przerwą. Na owo kolokwium wziął mnie doktor Starnawski, właśnie podczas przerwy, do stołówki. Jadł tam śniadanie (pamiętam, że podano twarożek...) i między jednym a drugim kęsem zadawał pytania. Śniadanie mu smakowało, pewnie dlatego uznał moje odpowiedzi za bardzo dobre. Prócz kolokwium należało jeszcze wykonać pisemną pracę bibliograficzną. Na czwartym roku uczestniczyłem w prowadzonym przez doktora Starnawskiego bardzo ciekawym konwersatorium z literatury współczesnej.

Kiedy w wiele lat potem wydał on wreszcie swój *Warsztat bibliograficzny historia literatury polskiej*, opublikowałem w „Przeglądzie Humanistycznym” – wraz z Januszem Kapuścikiem (zmarł w 1999 roku), moim kolegą z seminarium doktorskiego na UW, późniejszym profesorem – obszerną recenzję tej książki. Profesor Starnawski był zadowolony. Wcześniej, w roku 1966 – jako docent Uniwersytetu Łódzkiego – recenzował bardzo życzliwie moją pracę doktorską.

Mieliśmy jeszcze lektoraty: łacina (po pierwszym roku zdawałem z niej – poza uniwersytetem – maturę!), język nowożytny zachodni i rosyjski. Rosyjski zaliczyłem od razu; zdałem kolokwium i miałem spokój. Pytała mnie pani lektor Kucharska. Dała do przeczytania tekst, który znałem z liceum niemal na pamięć, coś o moskiewskim metro. *Kakaja krasota!* – tak brzmiało jedno z pierwszych zdań.

Po latach, będąc wreszcie w Moskwie, stwierdziłem, że owa *krasota* to kłamstwo i przesada, jak wszystko w sowieckim systemie. Ale kolokwium zdałem na piątkę. Na korytarzu, czekając, zamieniłem kilka słów z poważnym studentem, mówiącym kresowym akcentem. Zdawał także owo kolokwium. Na czwartym roku poznałem go bliżej. Był to Jerzy Żurawski, historyk sztuki, dziś emerytowany dyrektor muzeum w Kazimierzu nad Wisłą,

pochodzący z Braśławia, miasteczka na północno-wschodnich Kresach, które w XVIII wieku było nawet siedzibą województwa w Wielkim Księstwie Litewskim. *Tempi passati*.

Uznawszy, że mam pojęcie o angielskim i francuskim, chodziłem na lektorat języka niemieckiego. Przez trzy lata. Za każdym razem do innego lektora. Nie nauczyłem się jednak prawie niczego. Niemiecki jako tako – w stopniu biernym – przyswoiłem sobie dopiero podczas pracy w Bibliotece.

Było też na dwu pierwszych latach studiów wychowanie fizyczne. Chodziłem na nie – raczej rzadko... – do sali gimnastycznej Liceum im. Staszica. Naszym instruktorem był Wacław Kruszewski, przed wojną podoficer zawodowy 8. Pułku Piechoty, w czasie wojny gdzieś tam porucznik, wszechstronny sportowiec (mistrz wojska w boksie i w pływaniu), potem magister WF. Na drugim roku mieliśmy gimnastykę w sali 29 (tak było...). Trafiłem do grupy Mariana Gregorowicza, typowego Ormianina. Potem dowiedziałem się, że był on przedwojennym magistrem praw z naszego uniwersytetu, a do tego korporantem, dopisującym sobie do nazwiska herb: Lubicz.

Roboty mieliśmy co niemiara. Przeżywałem jednak wtedy swoiste zauroczenie uniwersytetem, fascynację większością wykładów. Bardzo przypadła mi do gustu filozofia. Panowała jeszcze wówczas przedwojenna moda studiowania dwu kierunków jednocześnie. Uległem jej. W listopadzie czy w grudniu zapisałem się na Wydział Filozofii Chrześcijańskiej (było to mniej skomplikowane niż dziś zapisać się na wizytę lekarską!), uzyskawszy pierwiej zgodę na studiowanie jej równocześnie z polonistyką od kierownika naszej sekcji, profesora Araszkiewicza, i księdza dziekana Pastuszki.

Wydział Filozofii dzielił się w owych latach na dwie sekcje: filozofię praktyczną (też coś!), którą zamierzałem studiować, i filozofię teoretyczną, potocznie nazywaną... psychologią (nie do uwierzenia, ale tak było). Na filozofii nie obowiązywała jeszcze ścisła dyscyplina studiów (trzeba było zdać rocznie tylko dwa egzaminy i dwa kolokwia), niektóre wykłady mieliśmy wspólne. Myślałem, że jakoś sobie poradzę.

Zacząłem chodzić na bardzo interesujące wykłady z ontologii tomistycznej (zwanej wtedy metafizyką), prowadzone przez dojeżdżającego z Krakowa profesora Stefana Świeżawskiego, na wykłady z logiki księdza doktora Stanisława Kamińskiego, na wstęp do filozofii praktycznej, wykładany przez doktora Pawła księcia Czartoryskiego (zdałem nawet u niego kolokwium), a także na ćwiczenia z historii filozofii, które – bardziej zresztą jak konwersatorium – prowadził ksiądz doktor Marian Kurdziałek. Tłum bywał na jego zajęciach.

Nie przystąpiłem jednak do owych dwu przepisowych egzaminów. A latem, po naszym pierwszym roku, władze państwowe odebrały prawo wykładania kilku naszym profesorom, m.in. księdzu Pastuszcze i profesorowi Czesławowi Strzeszewskiemu (profesor Ignacy Czuma odsiadywał w tych latach wyrok długoletniego więzienia). Dziekanem Wydziału Filozofii został młody (i sfrancuziały) profesor Jerzy Kalinowski, który w kilka lat potem wyjechał do Francji i jako Georges Kalinowski został filozofem francuskim.

Nowy dziekan rozpoczął rządy od wprowadzenia dyscypliny studiów i usunięcia studentów, którzy jej nie przestrzegali. A było takich bardzo wielu. Większość z nich to martwe dusze: mieli legitymacje studenckie, ale częstokroć mieszkali poza Lublinem i gdzieś tam pracowali. Status studenta bronił przed wzięciem do wojska. Ogłoszono zatem bardzo długą listę wyrzuconych „filozofów”. Radio Wolna Europa rzucało gromy na dziekana Kalinowskiego, że młodzież polską oddaje do komunistycznego wojska. Było w tym sporo racji... Znalazłem się i ja na tej liście. Tyle że mnie „w kamasze” nie wzięto; byłem studentem drugiego jeszcze wydziału.

Jeszcze kilka słów o naszym bytowaniu. Centralnym momentem studenckiego dnia był obiad w stołówce akademickiej, skromny, ale smaczny i dosyć obfity (jeśli nawet karmiono nas koniną, mnie to nie wadziło, byłem do niej przyzwyczajony w latach wojny). Jadło się w niesamowitym tłoku, wystawszy się przedtem w kilometrowej kolejce, formowanej na nieistniejącej dziś klatce schodowej przy Zakładzie Historii.

W stołówce podawali kelnerzy w białych kurtkach: nasi koledzy, odraabiający w ten sposób „stołówkowe” stypendia. Studentami byli też „cerberzy” usiłujący utrzymać porządek przy wejściu. Koleżanki-stypendystki wykonywały w kuchni jakieś tam prace pomocnicze. Istniały też stypendia „żywnościowe” (które po studiach należało spłacać). Zaraz na początku złożyłem podanie o stypendium częściowe, tylko obiady. Uważałem, że więcej mi się nie należy. Nie wiedziałem, że Komisja Stypendialna lubi przyznawać niższe stypendia. Dano mi zatem tylko obiady zniżkowe: 1,50 zamiast 3,50 zł – pomoc symboliczna. Na drugi więc rok, bogatszy o życiowe doświadczenie, które do dziś mi się niekiedy przydaje, poprosiłem o całodzienne utrzymanie, licząc, że dostanę obiady. Przyznano mi obiady i kolacje.

Życie uniwersyteckie nie było zbyt urozmaicone. Cząsy nie po temu. Ale zdarzały się niekiedy odczyty czy spotkania z ciekawymi ludźmi. Pamiętam z tych czterech lat wykłady: profesora Stanisława Pigionia (naturalnie o Mickiewiczu), Tadeusza Lehra-Spławińskiego, Tadeusza Milewskiego, odczyty: Jana Dobraczyńskiego (o Gertrudzie von Le Fort), Jerzego Turowicza

(o etyce w życiu politycznym), Stefana Kisielewskiego (o literaturze powojennego dziesięciolecia), ks. prałata Cząstki, zagorzałego abstynenta.

Bywały też wieczory lub poranki autorskie. Jerzy Putrament czytał rozdział z osławionego *Września*; zachowywał się nonszalancko, Miłosza nazywał zdrajcą, lekceważąco wyrażał się o Czechowiczu. Jarosław Iwaszkiewicz czytał fragment eseju o Szopenie. Obie te imprezy, jak i późniejszy odczyt profesora Stefana Żółkiewskiego, organizowało Zrzeszenie Studentów Polskich.

Inni pisarze przyjeżdżali na zaproszenie Koła Polonistów: Julian Przyboś, Maria Morstin-Górska, Kazimiera Iłakowiczówna, Karol Bunsch, Antoni Gołubiew, Hanna Malewska. Czytała rozdział o świętym Benedykcie z niewydanej jeszcze powieści pt. *Przemija postać świata*. Roman Brandstaetter odczytał w całości *Dramat księżycowy*. Zjawiał się też na uniwersytecie Jerzy Zawieyski, ale jakoś nigdy nie poszedłem na spotkanie z nim. Gołubiew i Zawieyski prowadzili też zajęcia z zakresu edytorstwa. Niestety nie dla naszego roku.

Przyjechał nawet kiedyś na KUL Graham Greene, o którego twórczości mówił wtedy profesor Przemysław Mroczkowski, a pilotował go Dobraczyński, wręcz służalczo witany przez księdza Iwanickiego, który (w obecności autora *Sedna sprawy*) tytułował go „mistrzem słowa”. (W październiku roku 1956 ksiądz Iwanicki spakował walizki, a gdy atmosfera stała się napięta, wyjechał.)

Działalność organizacji była raczej uboga. Nie mogło być – nawet na KUL – stowarzyszeń o charakterze religijnym czy charytatywnym. Istniał Chór Akademicki (jako stowarzyszenie) i Akademickie Zrzeszenie Sportowe (raczej niezbyt liczne). Działały koła naukowe, z których najbardziej było słychać o Kole Polonistów. Jego sekcją stał się Teatr Akademicki – wtedy jeszcze nie „scena plastyczna”. Rozpoczął on działalność na wiosnę roku 1952: wystawił wieczór poezji Kochanowskiego, potem dwa misteria, wreszcie *Rozdroże miłości* Zawieyskiego.

Zrzeszenie Studentów Polskich (rodzaj związku zawodowego, do którego formalnie należała większość studentów, ja też, choć nie wiem po co) próbowało organizować konkurencyjne „koła przedmiotowe”, ale udało się to w sposób widoczny tylko na historii sztuki, gdzie koło to było jedyne; nie istniało „naukowe”. W ogóle nie mam pojęcia, dlaczego historycy sztuki byli wtedy najbardziej „postępowi”. Członków ZMP było wśród nas bardzo niewiele, a poza tym zdarzało się, że pełnili funkcje agenturalne.

Istniało też „Koło Społecznie Postępowe”, inspirowane przez Stowarzyszenie Pax, mające dość liczną grupę członków na starszym od naszego roku polonistyki. Wszyscy oni zostali potem zatrudnieni przez Pax. O tym kole pisze obszernie, choć nie całkiem prawdziwie, Janusz Dunin – w czasach studenckich Dunin-Horkawicz – w książce wspomnieniowej pt. *Przystanek na wyspie wolności*.

W roku 1952 – idąc akurat Krakowskim Przedmieściem – widziałem na pochodzie pierwszomajowym „KUL” – w cudzysłowie, szła bowiem grupka zetempowców i profesor Andrzej Wojtkowski (od 1952 roku poseł na sejm..., ale też ojciec późniejszego biskupa) jako oficjalny przedstawiciel Senatu. Za to na procesjach Bożego Ciała „białe czapki” pojawiały się tłumem, w zwartych szykach, czwórkami, a także profesorowie w togach. To był nasz pochód.

Trudno sobie wyobrazić, by w naszym studenckim bytowaniu zabrakło miejsca na młodzieżowe rozrywki. Tych jednak mieliśmy naprawdę niewiele. Zostawszy studentem, zdążyłem zatańczyć zaledwie na dwu zabawach w auli. Jedną z nich zorganizowało Koło Polonistów (pamiętam roztańczoną, roześmianą profesor Sławińską), którego prezes, kolega Zarębski prowadził podczas tej „imprezy” fikcyjne zebranie zarządu Koła, w formie scenki niby to dramatycznej.

Jeden z kolegów przedstawił w jej trakcie „referat językoznawczy”: dowodził, że słowo „kiełbasa” kiedyś brzmiało „serdelek”. Rozpatrywano też kandydaturę jakiegoś „poety” do Sekcji Twórczości Własnej, odczytując fragmenty „jego” poematu heroicznego o odsieczy wiedeńskiej. Zapamiętałem biorącą w tej scenie udział koleżankę Zofię Topolnicką (miała piękną suknię i wspaniałe złotorude włosy), późniejszą Juliuszową Burską, dziś już, niestety, wdowę. Potem przyszedł Adwent, a gdy nastał karnawał, nowy rektor surowo zabronił zabaw tanecznych na terenie uniwersytetu. Nie mam pojęcia, dlaczego, dość na tym, że zakaz ten obowiązywał aż do końca jego rządów.

Tańczyliśmy zatem rzadko. Byłem na kilku – jakże skromnych – prywatkach. Potem, na trzecim i czwartym roku, urządzaliśmy parę razy wieczorki taneczne dla naszego rocznika polonistów, w salach wynajętych poza uniwersytetem. Ostatni taki wieczorek, w czerwcu roku 1955, w sali Liceum im. Staszica, był naszym „balem pożegnalnym”, z udziałem profesorów, a nawet z jakąś tam „częścią artystyczną”. Przyszedłem z narzeczoną.

Dlaczego słowo „bal” napisałem w cudzysłowie? Cóż, była to impreza tak skromna, że dzisiejsi studenci pewnie nie uznaliby jej za porządną

dyskotekę. Tańczyliśmy przy starych płytach. A nasze stroje! Uśmiełaby się z nich terazniejsza młodzież... licealna.

Koleżanki wystąpiły przeważnie w białych bluzeczkach i w spódniczkach, jakie tam która miała. Na obuwie nie zwracaliśmy uwagi. Pewnie też żadna nie poszła przed „balem” do fryzjera i manikiurzystki. A my? Kolorowe koszule, wełniane krawaty w kratkę, marynarki często welwetowe, szerokie spodnie (z obowiązującym kantem!), bujne fryzury. Nie pamiętam, by któryś miał ciemny garnitur z dobrej wełny. Szczytem marzeń była „sześćdziesiątka”. Noszono też jasne marynarki z samodiała, drogie, nie każdy mógł sobie pozwolić na taki luksus. No i to wino owocowe! Do tego herbatniki czy ciasteczka na wagę. Nędza. Ale myśmy to traktowali jako rzecz normalną.

Tymczasem – wracam do początkowych lat studiów – sytuacja w kraju stawała się coraz to bardziej ponura. Jesienią roku 1952 urządzono „wybory”. Byłoby raczej niebezpiecznie nie wziąć w nich udziału. Mimo to czułem się, jakbym głosując popełnił czyn niegodny. A zaraz potem obowiązującą dotychczas nazwę Rzeczpospolita Polska zmieniono na PRL (dzięki Bogu mogę napisać: była PRL).

Od Nowego Roku 1953 wprowadzono „regulację cen”: podwyżki po 100% i więcej, cukier z 5 zł podrożał do 15. Mięso, masło, cukier były teraz na kartki. Powtarzano opowieści o wciąż nowych aresztowaniach. Pisano o pokazowych procesach. Ale też mówiono jeszcze o partyzantach. Spodziewano się wojny. Atmosfera była ciężka. Udzielało się to i nam.

W marcu jednak tego roku coś się wreszcie stało. Do naszego pokoju, do Janusza Bendera, zaglądał czasem kolega Krzysztof Kozłowski, filozof, chyba już doktorant, potem długoletni zastępca naczelnego redaktora w „Tygodniku Powszechnym”, w wiele lat później minister.

Zaszedł więc i owego wieczoru. Przekazał nam „wielką nowinę”. Radio Wolna Europa (zakazane było jego słuchanie) podało wiadomość, że Stalin zachorował! Czekaliśmy w napięciu. Jakoż w kilka dni potem gazety doniosły, że „wielki wódz światowego proletariatu, chorąży pokoju, genialny językoznawca” itd., itd. zakończył swój żywot. Ogłoszono żałobę. A myśmy się cieszyli. Nie da się ukryć.

W dniu pogrzebu (położono go wtedy przy Leninie...) zawyły w mieście syreny. Jakby na alarm lotniczy. Wcześniej zapowiedziano, że na głos syren zamiera na ileś tam minut wszelki ruch: stają autobusy (czy pociągi też?), samochody, ludzie przerywają pracę, przechodnie zatrzymują się.

Wracałem właśnie z uniwersytetu do domu akademickiego. Było to przed południem. Kiedy zawyły syreny, dochodziłem akurat do skwerku naprzeciw

kościół ewangelickiego, gdzie teraz sprzedaje się kwiaty. Stałem. Niechbym nie stanął! Ale co sobie myślałem, to myślałem. Mieliśmy wtedy nadzieję na rychłe i radykalne zmiany. Niestety, przyszło czekać długo. Pół życia.

Byłem wtedy na drugim roku. Moja pierwszorocznicka euforia przeminęła. Skończę tę polonistykę – myślałem sobie – i co dalej? Przecież pracy w swoim zawodzie i tak nie dostanę! Studiowałem więc z rozpędu, bez entuzjazmu. Zresztą ten rok jakiś mało ciekawy. Nie były to studia uniwersyteckie, raczej nauka w szkole wyższej. Nasz uniwersytet, mimo wszystko, musiał dostosować się do obowiązujących programów, a te były raczej szkolne.

W dodatku, spóźniwszy się o kilka dni, nie dostałem się na proseminarium i ćwiczenia do żadnego z profesorów ani do magistra Stefana Sawickiego, bardzo cenionego, choć surowego asystenta, który swą działalność dydaktyczną rozpoczął dopiero przed rokiem, gdy myśmy przyszli na studia. Ćwiczenia z teorii literatury, u mgr Marii Jasińskiej, później profesora [zm. 2009], były – co tu ukrywać! – nudnawe, może zresztą tylko dla mnie, gdyż nie miałem zadatków na teoretyka (niczego nie zapamiętałem z „teoretycznych” wykładów profesor Sławińskiej).

Z pracy rocznej dostałem trójkę. Ta skromna ocena była karą za kilka błędów ortograficznych (podobnie jak na egzaminie dojrzałości). Kiedyś miałem okazję przypomnieć ten fakt profesor Jasińskiej, a ona na to: „Pamiętam, pisał Pan o *Strzałach za horyzontem* Dobraczyńskiego”. To się nazywa pamięć! A może ów referat nie był aż taki zły, skoro go zapamiętano?

Nie porwały mnie także ćwiczenia z gramatyki historycznej i dialektologii u doktor Bronisławy Lindert. Mówiąc między nami, obie te dziedziny to raczej niezbyt dobrane małżeństwo. Gramatyką historyczną, a bardziej jeszcze historią języka, powinienem był się zainteresować. A dialektologia? To raczej dla etnografów.

Frapowała mnie greka, ale, niestety, mieliśmy lektorat grecki tylko przez jeden semestr. O wiele za krótko. Rok nauki języka greckiego stanowiłby minimum. Znajomość języków klasycznych dla filologa to przecież niezbędna konieczność, *conditio sine qua non*.

Na proseminarium z historii literatury trafiłem do magister Wandy Achremowiczowej, koleżanki czy nawet przyjaciółki mojej ciotki z Wilna. Ojciec jej, Witold Nowodworski, wykładał historię na Uniwersytecie Stefana Bato-

rego. Mąż, Gracjan Achrem-Achremowicz, litewski Tatar, grafik z zawodu, zaginął w ZSRS. Miała trzech dorastających synów.

Była to osoba wielkiej zacności. Interesowała się twórczością Norwida, pisywała wiersze. Proseminarium prowadziła bardzo starannie. Ale grupa raczej mało ciekawa i sposób prowadzenia nie bardzo mi odpowiadał. „Zdolny, ale zupełnie pozbawiony entuzjazmu” – napisała kiedyś pani Achremowiczowa o mnie do ciotki. Istotnie, mój entuzjazm przygasł.

Wykłady z historii literatury – oświecenia i klasycyzmu – prowadził bardzo skrupulatnie profesor Czesław Zgorzelski, „Zgorzel”, surowy i wymagający. Cóż, kiedy mnie ten okres niezbyt interesował. Historię literatury powszechnej nowożytnej wykładał profesor Kalikst Morawski – romanista. Uważał on zapewne, że przeczytamy niewiele tekstów, dlatego też sporo z nich dokładnie streszczał, m.in. dramaty Tirso de Moliny czy Lope de Vegi, których istotnie nie czytałem. Nie był zbyt wymagający, na egzaminie łatwo można było dostać czwórkę.

Za to u kochanego profesora Brajerskiego, „Tadzia”, miałem przygodę – na szczęście jedyną tego rodzaju przez całe studia. Egzaminów i kolokwiiów po drugim roku było mnóstwo. Dlatego też na naukę gramatyki historycznej i dialektologii przeznaczyłem raptem trzy dni, i to na ławce w Ogrodzie Saskim. Skutek wiadomy. Po kilku pytaniach usłyszałem, że mam się zgłosić po wakacjach.

Kułem zajadłe przez cały sierpień, na łąkach i nad rzeką, w Wólce Orłowskiej pod Krasnymstawem, w czasie rodzinnych wakacji. Ale też były rezultaty. Wpisawszy mi piątkę na karcie indeksowej, profesor zapytał: „Jak to się stało, panie kolego (mówił tak do nas lwowskim zwyczajem, choć pochodził z Kraśnika), że w czerwcu niczego pan nie umiał, a teraz orientuje się pan całkiem dobrze?” Zacząłem coś tam bąkać o złym samopoczuciu czy czymś takim.

Po latach byłem kilkakrotnie z profesorem Brajerskim na czasach uniwersyteckich w Krężnicy Jarej i we Fromborku. Któregoś zatem roku – podczas zbierania grzybów czy na plaży – przyznałem się do mego nieuctwa. Śmiał się. A z profesorem miałem też inne kontakty. Kilka razy prosiłem go o pomoc językoznawczą podczas pisania staropolskich powieści historycznych. Żałowałem wtedy, że tak mało przykładałem się do historii języka, którą wykładał na trzecim roku. A był znakomitym specjalistą.

Kiedy przyszedliśmy na drugi rok, nie zastaliśmy już tłumu nowo przyjętych studentów. Władze państwowe wprowadziły wtedy limity studiujących na KUL. Na pierwszy rok można było przyjąć tylko czterdzieści osób. Raptem kilkanaście procent tłumu, który zaczynał studia przed rokiem.

Było jednak wśród tych pierwszaków sporo znaczących postaci. Jak choćby wspomniany w opisie lat wojny Piotr Mazurek-Kuncewicz czy też Zbyszek Stawecki, poznany w Krasnobrodzie.

Przyjaźnił się on z Lechem Ludorowskim, moim starszym kolegą z za-
mojskiego liceum, który po dwu latach studiów prawniczych w Warszawie
przyszedł na KUL. Leszek należał w naszej szkole do bardzo fasoniastej
drużyny harcerskiej Nr 10 – wodnej. Był to szkolny *arbiter elegantiarum*.
Wybitnie przystojny, może nazbyt jak na mężczyznę. Na KUL należał do
uczniów „Ciotki” – jak nazywano profesor Sławińską. Potem doktoryzował
się na podstawie pracy o *Ogniem i mieczem*, wydanej w formie książkowej.
Nawet ją gdzieś recenzowałem. Raziła mnie w tej książce maniera stosowa-
nia w pracy historyczno-literackiej terminów... muzycznych: *allegro*
moderato, *rondo*, *andante* etc. – na określenie poszczególnych części dzieła
Sienkiewicza. Autor był bowiem melomanem... W latach osiemdziesiątych
Ludorowski został profesorem na UMCS. Stawecki i on stanowili na stu-
diach *trio* z Haneczką Gostkowską, bardzo zgrabną, wysoką, która jednakże
nie wybrała żadnego z nich.

Była jeszcze na tym roku Danuta Zamaćńska, późniejsza Paluchowska,
uczennica profesora Zgorzelskiego, i Staszek Fita z seminarium „Dziadka”
Araszkiewicza; potem oboje wykładali na KUL *ex cathedra*. Trzeba jeszcze
wspomnieć Ireneusza Opackiego, zajmującego się romantyzmem, profesora
na Uniwersytecie Śląskim, i jego żonę, Hankę Chruszczewską, która roz-
poczęła studia z opóźnieniem, po odbyciu kary więzienia za tajne harcer-
stwo. Ona też doktoryzowała się, a opotem uzyskała habilitację. Wśród tych
z „młodszego roku” był też diakon, niewyświęcony z powodu zbyt młodego
wieku, Mirosław Paciuszkiewicz. W trakcie studiów został księdzem. Po
latach wstąpił do Towarzystwa Jezusowego.

Większość tych naszych młodszych kolegów była związana z Teatrem
Akademickim. Grała w nim Ela Wojciechowska, którą kiedyś potem wi-
działem w *Dziadach* wystawianych przez krakowski Teatr Rapsodyczny,
grała piękna Krysia Nowakówna. Charakterystyczną postacią była na tym
roczniku Bożena Lubicz-Stabrowska, późniejsza Komarowa, której mąż też
był naszym kolegą. Przyjaźnił się z tą parą Piotruś Mazurek, a także Andrzej
Lubach, który zaczynał studia z nami, a skończył z młodszym rokiem. Wy-
jątkowo elegancki. Dobrze ułożony, delikatny. Publikował potem w „Dia-
logu” (m.in. oryginalny dramat pt. *Ulica antykwariuszy*). Pracował jako
redaktor w PWN.

Teraz trochę o sprawach bardziej osobistych. Przyszedłem na studia bez doświadczeń w sprawach miłosnych. Pewnie i dlatego, że ukończyłem liceum męskie. Co prawda żeńska szkoła mieściła się w tym samym gmachu, za ścianą. Dla części moich kolegów wystarczająco blisko. Dla mnie jednak to była *terra incognita*. Nie interesowałem się dziewczętami. Na studniówce, potem na balu maturalnym – po przyspieszonym kursie tańca – płaśałem, bo inaczej nie wypadało, ale bez większych emocji.

Na studiach dziewczęta były blisko, w zasięgu ręki. Tylko że ja tej ręki nie umiałem wyciągnąć ani gęby po ludzku otworzyć. Zupełny ćwok. A mimo to wypatrzyłem Ją spośród innych. Była w naszej grupie ćwiczeniowej u doktora Słomkowskiego, nawet egzamin u niego zdawaliśmy razem: z nią i jej koleżanką. Co w niej widziałem? Może swoistą odmienność. Szczupła, dosyć wysoka. Jasna blondynka z krótką czuprynką i szarymi oczami. Na pozór mało efektowna. Ubrana bardzo skromnie czy nawet biednie. Ale dziś bym powiedział, że miała styl. Była inteligentna. Zdecydowanie wyróżniała się w gromadzie rozćwierkanych dzierlatek.

Nie przyszło mi jednak do głowy, by zaproponować jej pójście do kina czy coś w tym rodzaju. Zresztą po ćwiczeniach, wieczorem, zazwyczaj ktoś czekał na nią w korytarzu. Po latach dowiedziałem się: „...to nie kochanek, to był jej brat” – wedle słów starej pieśni, którą często nuciła moja Babcia. Nie był to brat. Po prostu dobry kolega, który ją odprowadzał do domu akademickiego na dalekie przedmieście.

Jakoś chyba w połowie pierwszego roku zaczęła „chodzić” z innym kolegą, wybitnym zresztą studentem. Widywałem ich przytulonych, radosnych, w towarzystwie drugiej pary, której „chodzenie” skończyło się przyspieszonym małżeństwem i narodzinami studenckiego dziecka.

Byliśmy na trzecim roku, kiedy zaczęto plotkować, że ukochany mojej wybranki porzucił ją. Jakoby przeszkadzała mu w karierze naukowej, której zresztą – jak większość prymusów – nie zrobił. Co wtedy myślałem? Nie pamiętam. W każdym razie nadal nie przejawiałem inicjatywy. Na terenie uniwersytetu nie było zabaw tanecznych, co mogłoby stanowić okazję do zbliżenia. Zorganizowaliśmy jednak owej jesieni, my, nasz rok, potańcówkę na mieście, w sali pocztowej stołówki, przy płytach.

Tańczyłem z jedną, drugą i trzecią koleżanką. Czemu nie podszedłem do niej? Nie mam pojęcia. Ale za to ona – tańcząc z innym – zawołała w pewnym momencie w moim kierunku: „Bohdan! Nie tańczyłeś jeszcze ze mną...” – Poczuję się jak koń trącony ostrogą. Poprosiłem ją do następnego tańca. Przetańczyliśmy resztę zabawy.

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo byłem szczęśliwy, jak mocno zakochany. Zdobyłem się na odwagę. Zapropo nowałem, że ją odprowadzę. „Odprowadził ją do bramy, ale z tyłu szły dwie mamy” – jak pisał Władysław Broniewski w sztambuchu pewnej pensjonarki. Mamy wtedy nie było. Ale szły za nami dwie jej koleżanki z absztyfikantami. Nie przeżyłem więc wtedy – pierwszej w życiu – czulej sceny. Mimo to byłem cały w skowronkach i snułem śmiałe marzenia.

Cóż, kiedy właściwie na tej zabawie się skończyło. Potem rozmawialiśmy. Żartowaliśmy. Ale moje bardzo niezdarne próby nawiązania bliższych stosunków pozostawały bez echa. Byłem zbyt nieśmiały, za mało męski. Dzieciuch i tyle. Męczyłem się. Cierpiałem. Byłem przecież zakochany! „Nie masz u niej szans” – mówił mój przyjaciel, Edek Klein, bardziej w tych sprawach doświadczony.

Próbowałem więc wybić klin klinem: znalazłem sobie w Zamościu, podczas przerwy semestralnej, inną sympatię, koleżankę jeszcze ze szkoły powszechnej. Klin okazał się do niczego. Będąc już na czwartym roku, poznałem podczas jakiejś potańcówki, w sali Liceum im. Staszica, moją przyszłą Żonę, wówczas studentkę trzeciego roku chemii. Pierwsze kochanie (czy miłość pierwsza?) minęło jak sen. Jak sen, o którym się długo pamięta.

Zobaczyłem Ją w trzy lata po skończeniu studiów. Na zjeździe z okazji 40-lecia Uniwersytetu. Zakłuło mnie w sercu. Przetkańczyliśmy cały bal. Byliśmy w kawiarni. Poszliśmy na skromną prywatkę do jednego z kolegów. I to koniec snu o mojej pierwszej miłości. Kiedy spotkaliśmy się w dziesięć lat potem, na 50-lecie Uniwersytetu, była już tylko koleżanką, jak inne.

Wróćmy na trzeci rok. Zaraz na początku trzeba było wybrać seminarium magisterskie. Z zakresu historii literatury miało je w tym roku prowadzić czterech profesorów: Feliks Araszkiwicz – na temat twórczości Bolesława Prusa, rozpoczynający pracę na naszym uniwersytecie Juliusz Nowak-Dłużewski – z literatury staropolskiej, Czesław Zgorzelski – z romantyzmu. Wreszcie Pani Profesor. Ogłosiła aż trzy seminaria: z liryki, z powieści współczesnej i z dramatu młodopolskiego. Poza tym profesor Zgorzelski oferował seminarium z edytorstwa, a Tadeusz Brajerski – językoznawcze.

Co tu wybrać? Nie interesował mnie pozytywizm ani romantyzm. Nie ujawniły się jeszcze moje zainteresowania wiekiem XVII i czasami saskimi. Językoznawstwo nie wchodziło w rachubę. A Młoda Polska? Cyganeria, galeria oryginałów, związki literatury z teatrem, z malarstwem. To jest coś! Poza tym Pani Profesor, choć miała opinię surowej, była postacią barwną i oryginalną. Nieustępliwa politycznie. W dodatku „z Wilna”... Co tu zresztą

gadać! To osobowość! Należała już wtedy do „sanhedrynu polonistyki” – jak mi to kiedyś powiedział Andrzej Paluchowski.

No i wybrałem! Do dziś tego nie żałuję. Poza tym na seminaria do „Ciotki” szedł tradycyjnie niemal sam polonistyczny *high life*, jak jej uczniów nieco złośliwie określał Janusz Bender. Na seminarium z liryki zabrakło kandydatów, zgłosił się tylko Józio Zięba (miał poetyckie ambicje...), który potem chodził na nasze, młodopolskie.

Do grupy „powieściowców” należał Wiesław Myśliwski ze swoją piękną dziewczyną, a rychło po studiach żoną, Waławą Stecówną. Tadek Kłak mówił o niej „Stec po Myśliwsku”. Był tam też Maciej Wrzeszcz, niezwykle inteligentny chłopak, wybitnie przystojny, późniejszy publicysta, naczelny redaktor „Kierunków”, autor książki o Pawle VI, a wreszcie polityk, przewodniczący Stowarzyszenia Pax, poseł na sejm, także w III RP.

No i Tadeusz Kłak, syn rolnika z Porąbek (wieś wymieniana w *Popiołach*), z których – niby drugi Andrzej Radek – „dymał” codziennie tam i z powrotem piechotą do kieleckiego gimnazjum. Małeńki, niezbyt zdrowy, biedny jak mysz kościelna, ale inteligentny, czytany, dowcipny, ambitny. Zrobił więc profesorską karierę na Uniwersytecie Śląskim, jako specjalista od poezji Józefa Czechowicza. Uczestniczyła w tym seminarium także Alicja Grajewska, redaktor w Instytucie Wydawniczym Pax, publicystka, autorka szkiców religijnych, pisanych pod pseudonimem Krzysztof Narutowicz, m.in. zbioru rozważań o Krzyżu, zmarła przed paroma laty.

I jeszcze Leon Miękina ze Śląska Cieszyńskiego, gdzie wrócił po studiach jako zamiłowany nauczyciel i działacz regionalny; ogłaszał też w Cieszynie wiersze i opowiadania. Prócz tego Wacek Kamiński (nazywał się tak jak mój kompan z domu akademickiego: „niejednemu psu Burek” – mawiał Tadeusz Kłak), niewidomy, inwalida bez jednej dłoni, ofiara wojennych niewypałów, wychowanek zakładu w Laskach, który dzięki wspaniałej pamięci zdołał skończyć studia i został nauczycielem w szkole dla ociemniałych pod Poznaniem, koło Rogoźna, gdzie to Brandenburczycy zamordowali króla Przemysła II. Do kompletu kilka dziewcząt. Ala Wojciechowska, szczupła, zgrabna, elegancka. Zawsze wesoła Hanka Kordaszewska.

A u nas? Trzynastu plus jedna – Wieśka Sanecka, „wielka dyrektorzyca” i reżyser Teatru Akademickiego. Nie udało się jej, niestety, zrobić potem kariery teatralnej, do której była predystynowana. Od lat jest dyrektorem społecznego liceum katolickiego w Józefowie pod Warszawą i żoną naszego kolegi z seminarium, Jurka Tombachera, świetnego narciarza i zamiłowa-

nego bartnika, który po studiach polonistycznych wrócił do swej pierwszej miłości: na politechnikę.

Sądzę, że najwybitniejsza osobowość spośród tej trzynastki to Juliusz Burski, zmarły w roku 1990 jako wiceminister kultury. Można chyba go określić jako najzdolniejszego studenta naszego rocznika. Był synem oficera 13. Pułku Artylerii Lekkiej, z Równego, kapitana Franciszka B., we Wrześniu dowódcy 12. Samodzielnej Baterii Przeciwlotniczej, więźnia Starobielska, zamordowanego przez NKWD w Charkowie – o czym dowiedziałem się w wiele lat po studiach.

Burski „chodził” już wtedy ze swoją późniejszą żoną, też uczennicą Pani Profesor, piękną Zofią Topolnicką, poetką. Julek – człowiek teatru, telewizji, filmu. Wszechstronnie uzdolniony (pisywał też wiersze i dramaty). Profesor Sawicki mawiał po latach, że Burskiego czekałaby wielka kariera naukowa, gdyby zechciał się jej poświęcić.

Mieszkał po wojnie w Warszawie. Pojawił się na uniwersytecie z przyjaciелеm i kolegą szkolnym, Mariuszem Zinowcem, czarującym koleżanki filmową urodą, temperamentem i dowcipem. Chłopak o żywej inteligencji. Jakoż został dziennikarzem i krytykiem teatralnym. W Teatrze Akademickim (gdzie działał też Burski) Mariusz pracował w Sekcji Technicznej, wraz z Rochem Góreckim z Legionowa, żonatym już wtedy i mającym córeczkę, bardzo miłym i pogodnym. Zmarł on w trzy lata po studiach, na białaczkę.

W Sekcji Technicznej był też Staszek Mączewski, syn zamożnego rolnika spod Raciąża. Chłopak jak żywe srebro (uczył nas tańczyć polkę-ułankę). Fizycznie typ komandosa (tak się zresztą złożyło, że to właśnie on przekazał mi kiedyś zasłyszana od kogoś relację – nie pisano o tym wtedy – o szkoleniu komandosów). Staszek po roku odszedł od nas na seminarium profesora Brajerskiego. W kilka lat po studiach przejął ojcowskie gospodarstwo i bardzo aktywnie zajął się sadownictwem, osiągając w tym znakomite wyniki. Ożenił się późno. Ma kilkoro dzieci. Wciąż młody, mimo siedemdziesiątki.

Teraz trzyosobowa Sekcja Salowa (tak się złożyło, że wszyscy w naszej grupie coś robili w Teatrze Akademickim, my akurat ustawialiśmy krzesła, ktoś musiał robić i to), do której należałem z dwoma przyjaciółmi. Nazywano nas „Trójką”. Naszym szefem był Edek Klein, syn kapitana strzelców podhalańskich, „żelaznego” kapitana, gdyż jego ojciec, chorąży z armii austriackiej, z włoskiego frontu, awansował do stopnia kapitana w roku bodaj 1928 i z trzema gwiazdkami został już do roku 1939 (było w Wojsku bardzo wielu takich kapitanów), jako oficer administracyjny w swoim pułku,

potem w Powiatowej Komendzie Uzuppełnień, gdzieś na Podkarpaciu, w Krośnie czy Gorlicach.

Na froncie włoskim dowódcą jego kompanii był kapitan Jerzy Dobrodzicki, w Wojsku Polskim generał i przez kilka lat dowódca Okręgu Korpusu w Lublinie. Oglądałem potem album fotografii pana kapitana. Były tam m.in. zdjęcia generała Dobrodzickiego jako gościa u swego dawnego podkomendnego, ale kapitan Klein ustawiał się na nich o kilka kroków za generałem. Co hierarchia, to hierarchia!

Edek. Uważałem go za swego najlepszego przyjaciela. Zmarł nagle, na Sylwestra, w roku 1993. Płakałem na wiadomość o jego śmierci. Przyszła akurat wtedy, gdy moja Żona była skazana na śmierć po spóźnionej operacji. Jakoż zmarła w dwa i pół miesiąca po Edku. Zbliżyliśmy się z nim jeszcze na pierwszym roku, na proseminarium u poczciwego „Jasia” Słomkowskiego.

Edek mieszkał wśród gór, pod Duklą, we wsi Cergowa, gdzie jego dziadek, Wawrzyniec Typrowicz, zażywny jegomość ze wspaniałymi wąsami, administrator dukielskich dóbr hrabiowskich, wypracował sobie sporą posiadłość i dwór w pięknym sadzie, nad rzeką Jasiołką. Pan Typrowicz miał czterech synów. Najstarszego wysłał, *pro more*, do seminarium duchownego. Poznałem księdza kanonika Typrowicza jako staruszka, dożywającego lat we własnym domu na obrzeżach Dukli.

Trzej pozostali (oficerowie rezerwy w stopniu majora) skończyli wyższe studia; jeden medyczne, drugi prawnicze, trzeci nie pomnę jakie. Żaden nie wrócił na rolę. Gospodarstwo objął więc po śmierci pana Wawrzyńca (w okresie powojennym) mąż jego jedynej córki, kapitan Tadeusz Klein, wielkiej zacności i dobroci człowiek.

Edek nie był przystojny: średniego wzrostu, otyły, łysiejący, ale miał powodzenie u dziewcząt. Należał do czołówki naszego roku. Inteligentny, pewny siebie, ambitny. Piątkowy student. Nie miał jednak szerszych horyzontów, np. zupełnie nie interesował się historią czy sztuką. Poza tym był bardzo galicyjski w poglądach, w mowie, w zachowaniach, a także nadmiernie rzeczowy, zbyt mało ulegający emocjom. Choć nie zawsze.

W liceum, w Krośnie, należał do ZMP. Trzebaż trafu, przewodniczący tej organizacji mówi mu kiedyś: „Ty, Klein, jeżeli chcesz być z nami, musisz wyrzec się swego ojca”. Edek nie odpowiedział. Po prostu dał aktywiście „w mordę”. Wyrzucono go za ten czyn z „organizacji”. A skutek był taki, że chociaż zdał bardzo dobrze na polonistykę, na UJ, nie został przyjęty „z braku miejsc”. Na naszym seminarium pisał pracę magisterską o dramatach Lucjana Rydla.

Po studiach wrócił do Dukli, do dworu za rzeką. Ożenił się ze swoją szkolną „sympatią”. Miał dwu synów. Młodszego trzymałem do chrztu z bardzo urodziwą szwagierką Edka, Haliną Typrowiczową, nawet mi trochę zawróciła w głowie. Początkowo Edek pracował w nadleśnictwie. Po trosze zajmował się zmalłym już dziadkowym gospodarstwem. Był zadowolony z takiego życia. Pisał mi kiedyś, że dobrze jest nie mieć ambicji. Rzecz do dyskusji. Wyśmiewał moje doktorskie projekty.

Jednakże po kilku latach podjął pracę w dukielskim liceum. Zainteresował się filmem. Bodajże specjalizował się w tym zakresie jako nauczyciel. Zaczął też pisać artykuły z metodyki nauczania. Miał jakieś wykłady w Rzeszowie. Wreszcie, już chyba w latach osiemdziesiątych, doktoryzował się z metodyki nauczania, wykonawszy monografię czasopisma dla nauczycieli pt. „Polonistyka”.

Mimo parokrotnych scysji (nie zawsze podobało mi się to, co robił i pisał), mimo różnic w usposobieniu i temperamencie, do końca jego życia prowadziliśmy korespondencję. Bywałem szereg razy u niego w Dukli, on, wpadając do Lublina, zaglądał do mnie.

Pierwszy raz byłem we dworze dziadka Typrowicza latem roku 1954, kiedy to, po trzecim roku studiów, obaj z Józkiem Ziębą spędziliśmy u Edka dwa nader przyjemne tygodnie wakacji, kąpiąc się, łażąc po górach, a przede wszystkim pomagając w polu, co – przynajmniej mnie – bardzo dobrze zrobiło.

Dwór, wystawiony niedługo przed ślubem rodziców Edka, na skarpie nadrzecznej, był „z drzewa, lecz podmurowany”. Z dużą oszkloną werandą, nad którą pyszniło się ogromne jelenie poroże. Z wysokim dachem i facjatką. Było tam dwanaście pokoi, nie wszystkie wykończone i urządzone. Największy był salonem i jadalnią. Stały tam stare meble simmlerowskie, wisiało kilka obrazów i „zegar kurantowy”, ale nie „w szafie u wnijścia alkowy” (to, oczywiście, znów z *Pana Tadeusza*), tylko w złoconej ramie batalistycznego obrazu z wojen napoleońskich, kopii dzieła nie pamiętam już jakiego malarza. Gdy pociągnęło się za sznurek, kuranty grały mazurka, ale nie Dąbrowskiego tylko „Polak nie sługa, nie zna co to pany”...

Dwór stał właściwie na terenie wsi Cergowa, za rzeką, skąd do miasteczka parę kroków. Do uroczej Dukli u podnóża gór, ozdobionej dwoma barokowymi kościołami, starym ratuszem i pałacem Mniszchów. Poznałem tam kiedyś Edkowego stryja – młodszego brata jego ojca – podpułkownika Franciszka Kleina, legionistę z II Brygady, potem oficera służby stałej, odznaczonego Krzyżem Orderu *Virtuti Militari*, w latach trzydziestych od-

komenderowanego do pracy w Związku Strzeleckim, we Wrześniu dowódcę półbrygady górskiej w Armii „Karpaty”.

Pułkownik po wojnie mieszkał w Lublinie. Nie wstąpił do ludowego wojska. Przez szereg lat kierował stołówką dla pracowników UMCS, zwaną „u Kleina”, podobno bardzo dobrą. Dowiedziałem się jednak o tym stosunkowo niedawno. Edek o tym nie mówił i do tej stołówki nie chadzał. Na pierwszym roku studiów mieszkał u stryja. Potem na stacji u doktora praw Waleriana Totha, lwowiaka, przy ulicy Żwirki i Wigury, w świetnym punkcie. Oboje państwo Tothowie przyjeżdżali niekiedy latem do Dukli, gdzie ich widywałem, bywałem zresztą także u Edka „na stacji”.

Drugim z naszej „Trójki” był Józef Wiesław Zięba, pseudonim „Kleofas”, syn rzemieślnika z Wołynia, mieszkający po wojnie w Chełmie, niski, dobrze zbudowany, bardzo religijny, wówczas abstynent, próbujący siłą jako poeta, pracowity, wytrwały. Poważna wada wzroku uniemożliwiła mu zdobycie większej erudycji. Starał się na polonistykę w Toruniu. Zdał egzaminy. Nie przyjęty „z braku miejsc”. Gdy upadł projekt seminarium z liryki, przyszedł do nas. Napisał pracę magisterską o komediach Włodzimierza Perzyńskiego.

Po kilku zmianach miejsca pracy osiadł, aż do przejścia na emeryturę, w Muzeum Lubelskim, jako kierownik nowo powstałego oddziału: Muzeum Literackiego im. Józefa Czechowicza. Na tym stanowisku prowadził pożyteczną działalność, m.in. organizował wieczory literackie. Doktoryzował się w Państwowym Instytucie Sztuki w roku 1974 na podstawie pracy pt. *Ruch teatralny na wsi, 1918-1939* (Warszawa 1976). Poza tym wydał kilka tomików poetyckich, powieść, zbiór opowiadań z dziejów Lublina (dwukrotnie wznowiony) oraz szereg publikacji związanych z pracą muzealną. Napisał i wydał, nagrodzone w konkursie na pamiątki z Kresów, *Wspomnienia wołyńskie. Znad Stochodu*.

Kilkakrotnie, w wiele lat po studiach, współpracowaliśmy. W latach 1981-1983 w zarządzie Lubelskiego Oddziału ZLP, gdzie byłem wtedy prezesem, a on sekretarzem, potem w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych, od roku 1991 w Lubelskim Oddziale SPP, w którym ja prezesowałem przez dwie kadencje, a Józek był w zarządzie, później przejął prezesurę.

Do dziś przyjaźnię się z innym uczestnikiem naszego seminarium, Andrzejem Szmidtem [zm. 2006], wspaniałym poetą i uroczym człowiekiem, synem dwojga prawników, krewnym Tadeusza Kotarbińskiego. Andrzej urodził się w Lyonie, gdzie jego ojciec pracował w polskim konsulacie. Podczas wojny był w kontrwywiadzie AK, zmarł tuż przed Powstaniem,

które Andrzej wraz z matką przeżył w Warszawie. Matka – chora na gruźlicę – odeszła jesienią roku 1955.

Ogłosił siedem tomów poezji, a także obszerny wybór wierszy (ukazało się też, na jego 60-lecie, bibliofilskie wydanie kilkunastu dawnych utworów), które ogłaszał również w czasopismach. Jego rewelacyjny, młodzieńczy tekst pt. *Taki pejzaż* od wielu lat śpiewa Ewa Demarczyk. Publikował także recenzje, eseje i opowiadania.

Przez wiele lat pracował w Redakcji „Więzi”. Kierował tam działem poezji. Wiele i bardzo pochlebnie pisano o jego twórczości, nagradzano ją, mówiono o niej w radio i w TV. Andrzej Szmidt jest dziś starzejącym się, schorowanym człowiekiem z siwą czupryną, o wciąż czystych, niebieskich oczach, uroczo nieporadnym, pogodnie znoszącym przeciwności losu. Pisujemy do siebie często. Przysyła mi niekiedy swoje wiersze w maszynopisach. Spotykamy się w Warszawie, gdzie Andrzej był popularną i lubianą postacią w środowisku literackim (w SPP), w Zakopanem, w Kazimierzu.

Na naszym seminarium był też Edek Krasiński, „Wieszcz”, dobrze już wtedy łysy. Tadzio Kłak pisał w żartobliwym wierszu, odczytanym na balu pożegnalnym: „Ile Bohdan piecze raków, ile «Wieszcz» nagubił kłaków...” – czerwieniłem się wtedy bardzo często. Edek pochodził z tradycyjnej rodziny wiejskiej (jego starszy brat został księdzem). Opowiadał kiedyś, na jednym z kazimierskich spotkań uczestników naszego seminarium z Panią Profesor, w latach dziewięćdziesiątych, jak ojciec wieczorami zwykł był głośno czytać całej rodzinie *Trylogię*, co tak Edkowi zapadło w pamięć, że nigdy już nie musiał do niej zaglądać.

Mówił nam też wówczas, w jaki to sposób urządził sobie w tamtych latach, na KUL, indywidualne, bardzo ambitne studia. Zaimponował mi. Cóż, ja byłem polonistą z przypadku i studiami raczej się nie przejmowałem. A „Wieszcz” po magisterium – ożeniony z naszą młodszą koleżanką, Krysią Nowakówną o pięknych oczach i włosach – zajął się, mieszkając w Warszawie, bardzo poważnie historią teatru. Doktoryzował się z tej dziedziny, habilitował, uzyskał profesurę. Ma bogaty dorobek naukowy, w tym wiele książek.

Niecodzienną, bardzo charakterystyczną postacią, był na naszym seminarium Ryszard Kraśko z Białegostoku. Chyba kilka lat od nas starszy, łysiejący, pulchny, z charakterystycznym „bokserskim” nosem. Grywał w Teatrze Akademickim. Nie wiedziałem wówczas, że Rysiek należy do ZMP. Nie obnosił się z tym. Spotkałem się z nim po studiach tylko raz, w roku 1976, w Białymstoku, gdzie mieszkał. Przegadaliśmy kilka godzin.

Opowiedział mi wtedy, że – choć miał przekonania lewicowe – przyszedł na KUL, by zrobić na złość ojcu, działaczowi partyjnemu, który porzucił jego matkę. Cóż, można i tak. Ale – jak mi mówił – nie chciał mieć dyplomu z literami „KUL”, dlatego magisterium zdobył potem, gdzieś tam, z czegoś tam. Był członkiem byłej PZPR. Pracował jako dziennikarz.

Opublikował książkę o Białymstoku, tom szkiców historycznych, parę powieści historycznych i dwie obyczajowe, poza tym kilka kryminalnych pod pseudonimem (ujawnił się z nim wobec mnie) Henryk Podlaski. Niewątpliwie zdolny, ambitny, rzutki. Ale... z tamtej strony. Zmarł na serce któregoś roku we wczesnych latach osiemdziesiątych.

Dziennikarzem został też Staszek Weremczuk, rodem z podlaskiej wsi. Miał aspiracje poetyckie. Ogłosił trzy tomiki wierszy (jeden wspólnie z Józkiem Ziębą). Napisał (grany w lubelskim teatrze w roku 1973) dramat o Koperniku. Ogłosił broszurę pt. *W obronie skarbów wawelskich* (Lublin 1974).

Był jeszcze na naszym seminarium Stanisław Gierszewski w Pomorza. Po studiach został nauczycielem.

U profesora Zgorzelskiego, na obu jego seminariach, było mniej jeszcze magistrantów niż u „Ciotki” – miał on opinię bardzo surowego i wymagającego nauczyciela. Na seminarium z romantyzmu przyszło dwu wybitnych studentów – spośród czterech czy pięciu najzdolniejszych na naszym roku – Andrzej Paluchowski i Wiesław Grabowski.

Obaj przerastali resztę kolegów o głowę (jak i Julek Burski), inteligencją, a także imponującą erudycją. Publikowali potem w „Pamiętniku Literackim” i trochę w innych pismach (np. w „Tygodniku Powszechnym” – Andrzej debiutował tam jeszcze jako student). Ale, mimo swych wielkich możliwości, nie zrobili kariery naukowej ani nawet doktoratów. Grabowski (ożeniony jeszcze na studiach z koleżanką, Danutą Gąszczołowską) pracował w warszawskim Muzeum Adama Mickiewicza. Paluchowski – na KUL, pierwotnie jako asystent, potem wicedyrektor, a następnie dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej. Gdy byliśmy na czwartym roku, Andrzej został prezesem Koła Polonistów, po Jerzym Kołłątaju i Wojciechu Górnym. [A. Paluchowski zmarł w 2017 r.]

Ponadto było w tej grupie około dziesięciu koleżanek. Poważna Zosia Surowiecka, obecnie Staniewiczowa (wdowa po naszym koledze, śp. Marianie). Elegancka Krysia Berycz, która wyszła potem za Witka Henecz-kowskiego, filozofa, wielkiego oryginała, jednego z przyjaciół Tolka Podsiada. Inteligentna i atrakcyjna Mira Nawara, późniejsza Przybyłowiczowa. Poza tym Krystyna Sadowska, obecnie stale mieszkająca w Rzymie. A także

Amelia Kania – „Mela”, „Melita”, potem żona Tadka Szafrąńskiego, historyka z wyższego od nas roku.

Mela, obdarzona pięknym głosem, umiała śpiewać nawet... basem. Często też wybuchała istnymi kaskadami dźwięcznego śmiechu. Tadek Kłak w wymienionym wyżej wierszyku pisał o niej (i o wyszukanie uprzejmym koledze Paluchowskim):

Ile Andrzej zna ukłonów,
A Melita bierze tonów,
Tyle niech nam żyją *mentes*
Professores et studentes.

Mela pracowała w Instytucie Wydawniczym Pax, w tym jako redaktor naczelny. Była też czynna jako krytyk literacki. Opublikowała książkę o twórczości Zofii Kossak, a także biografię błogosławionego Edmunda Bojanowskiego.

Na seminarium edytorskim było bodajże pięcioro uczestników (ponadto uczęszczał tam dodatkowo Julek Burski). Wymagania stawiano surowe: jako pracę magisterską należało przygotować tom tekstów wedle norm „Biblioteki Narodowej”. Bagatela! Za dobrze zrobiony tom „BN” można by i doktorat uzyskać. Nikt jednak spośród tej grupki nie podjął potem pracy edytorskiej, wszyscy zostali nauczycielami. Jedyne koleżanka Ala Trefler, „Sowa”, z zamojskiego liceum (dziś prezes warszawskiego Koła Zamościan), też zresztą nauczycielka, po latach wydała swą pracę magisterską: *Poezje wybrane napoleońskiego żołnierza, Kantorbereggo Tymowskiego* (Warszawa 1977). Tylko jeden kolega uczestniczący w tym seminarium, Marian Morawczyński, uzyskał po latach stopień doktora.

Najwięcej studentów zgromadziło się na seminariach profesora Araszkiewicza, czyli „Dziadka”, i Nowaka-Dłużewskiego. Wśród „staropolaków” znalazł się tylko jeden z gromadki naszych „prymusów”, ogromnie pracowity i zdolny Stefan Nieznanowski, kolega Tadka Kłaka z kieleckiego liceum. Niziutki, wówczas szczupły. Typ samotnika. Zaraz po magisterium został asystentem na naszym uniwersytecie. Doktoryzował się najwcześniej z nas, w roku 1962, na UW, u swego profesora (który potem był też moim promotorem). W kilka lat potem przeszedł na UMCS, gdzie habilitował się i uzyskał profesurę.

Na seminarium „prusowskie” szli ci, co chcieli łatwo uzyskać magisterium. Jakoż „gwiazd” tam nie było, a dla poniektórych i to seminarium było zbyt trudne; kilku przeszło po trzecim roku na językoznawstwo. Jednakże

potem dwu kolegów z seminarium profesora Araszkiewicza zrobiło doktoraty: Zygmunt Kozak, najpierw nauczyciel w odległym miasteczku, obecnie zajmujący się w Lublinie kształceniem nauczycieli, i Janusz Gajda, który doktorat, a nawet profesurę, zdobył na niepolonistycznym kierunku, na UMCS.

Spośród uczniów profesora Brajerskiego z naszego roku studiów jeden tylko należał do najwybitniejszych: Michał Łesiów, bardzo sympatyczny, starszy od ogółu z nas o kilka lat. Przyszedł na KUL rok przed nami, z Mazur czy Warmii, gdzie jako przesiedleńca spod Buczacza ukończył szkołę średnią z językiem ukraińskim. Początkowo studiował filozofię. Po roku przeniósł się na polonistykę. Zrobiwszy magisterium, rozpoczął pracę na UMCS. Doktorat zrobił niedługo po Stefanie Nieznanowskim. Ma nominację profesorską. Stał się wybitnym sławistą, ze specjalizacją ukrainistyczną, z pokaźnym dorobkiem, z wykładami za Oceanem. Swe prace w języku ukraińskim podpisuje: Michajło Łesiw, jest zresztą wyznania greckokatolickiego i uważa się za Rusina z Rzeczypospolitej. Dziś już emeryt, wciąż aktywny naukowo [zm. 2016].

Wróćmy na nasze seminarium „dramatyczne”. Odbywało się w maleńkiej sali nr 22 czy 23, obok Zakładu Teologii, na pierwszym piętrze. Nasza „Ciotka” – jakże wówczas młoda niewiasta! – była wtedy autorką (już czy tylko?) dwu książek: *Tragedia w epoce Młodej Polski* (praca doktorska) i *O komediach Norwida* (habilitacyjna), ponadto współautorką tomu *O Norwidzie pięć studiów* (z Konradem Górskim i Tadeuszem Makowieckim). Jej wspaniała kariera naukowa w zakresie teatrologii, jak też liczne wyjazdy zagraniczne to wówczas jeszcze przyszłość. Zajmowała się twórczością Norwida, dramatem (skąd krok do teatru), teorią literatury. Była wschodzącą gwiazdą polonistyki. Imponowała nam. Uprawiała turystykę, jeździła na nartach (z naszego seminarium sekundował jej Jurek Tombacher). Bardzo towarzyska, lubiła śpiewać, tańczyć.

Od razu na drugie czy trzecie posiedzenie seminaryjne zaprosiła nas do swego mieszkanka (raptem dwa pokoiki na ulicy Chopina). Po części „naukowej” dwie starsze koleżanki, Zosia Topolnicka i Barbara Wosiekówna (została potem karmelitanką), wniosły herbatę i ciasteczka. Rozpoczął się miły wieczorek towarzyski. U Pani Profesor bywaliśmy też na imieniny, na zakończenie studiów, a my dwaj z Edkiem jeszcze parokrotnie, „na kolacyjkę i brydżyka”.

Takie były „Ciotki” obyczaje. My stanowiliśmy drugi rocznik jej uczniów na KUL. Chyba bardziej jednak bliskie było dla niej seminarium ze starszego rocznika, pierwsze przez nią prowadzone. Nie pamiętam, czy była to

jedna czy dwie grupy, dość na tym, że zajmowali się Norwidem i – jak my – dramatem. Nazywano ich „mamoniowcami”, od nazwiska Bronisława Mamonia, długoletniego potem członka redakcji „Tygodnika Powszechnego”. My zresztą czasem mówiliśmy żartem o sobie: „neomamoniowcy”.

Do tamtej grupy, prócz Mamonia, należała Anka Kowalska (autorka *Pestki*) i jej przyjaciółka Renata Rudzka (również literatka), Danuta Nagórna (znakomita aktorka) i jej późniejszy mąż, wcześniej zmarły, wszechstronnie uzdolniony Wojciech Górny, Zofia Topolnicka, Barbara Wosiekówna. Poza tym Zdzisław Łapiński, nieżyjący od lat Zdzisław Jastrzębski, Wiesław Paweł Szymański: wszyscy trzej zostali krytykami i historykami literatury. Jeszcze Alojzy Leszek Gzella, znany lubelski dziennikarz, historyk teatru. Chyba również Janusz Dunin-Horkawicz, bibliofil, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi. O każdej z tych osób można by wiele napisać. Ich studia były dwustopniowe. Po trzech latach można je było zakończyć dyplomem zawodowym lub zostać na półtoraroczne studia magisterskie.

Nasze seminaria, z dramatu młodopolskiego, nigdy nie były nudne. Dyskutowaliśmy ostro, „bez rękawiczek”. Chodziliśmy całą grupą kilka razy do teatru, by potem omawiać tekst i inscenizację. Jeździliśmy do Warszawy, na rewelacyjne przedstawienie *Horsztyńskiego* w Teatrze Narodowym (Elżbieta Barszczewska, Karol Adwentowicz, Jerzy Kreczmar). Szczegółowo analizowaliśmy *Zwiastowanie* Claudela, które miał grać (i grał) Teatr Akademicki. Potem omawialiśmy nasze prace seminaryjne, każde z koreferatem kolegi, a na czwartym roku fragmenty prac magisterskich.

„Ciotka” podsuwała nam tematy prac seminaryjnych i magisterskich, jeśli mieliśmy trudności z wyborem. Mnie poradziła, bym zajął się dramatem Adolfa Nowaczyńskiego. Napisałem pracę seminaryjną o jego komedii czy raczej farsie pt. *Wojna wojnie*, ostrej satyrze na pomajowe rządy w Polsce. Autor zapłacił za tę sztukę wysoką cenę: broniący „honoru wodza” oficerowie-piłsudczycy pobili go tak dotkliwie, że utracił oko.

Sztuka oparta jest na motywach dwu komedii Arystofanesa: *Rycerzy* i *Lizystraty* (*Gromiwoi*). *Rycerzy* wówczas znałem, zauważyłem tę zależność, o drugiej komedii nie słyszałem. Nie wiem, czemu „Ciotka” nie zwróciła mi na to uwagi. Czyżby nie znała *Lizystraty*? Niemożliwe!

Była profesorem wymagającym. Pilnowała, byśmy dokładnie kontrolowali „stan badań” nad każdym podejmowanym tematem. Jeździliśmy nawet do Warszawy, by w tamtejszej Bibliotece Uniwersyteckiej wyszukiwać recenzje teatralne, a w Państwowym Instytucie Sztuki odnaleźć kalendarium przedstawień interesujących nas sztuk. Wiele skorzystałem, wertując stare

roczniki czasopism. Przede wszystkim, dzięki tym kwerendom, bliżej zainteresowałem się międzywojennym dwudziestolecie i zrozumiałem, że stereotypy wyniesione ze szkoły nie wystarczają, by zrozumieć ten okres.

Jako przedmiot pracy magisterskiej wybrałem dramaty historyczne Nowaczyńskiego. Pani Profesor sugerowała, bym zajął się wszystkimi dramatami historycznymi z tego okresu, ale nie zachwylił mnie ten temat. Siedziałem zatem nad *Fryderykiem Wielkim*, *Carem Samozwańcem* i innymi „kronikami dramatycznymi”. Przyczyniło się to do rozbudzenia moich zainteresowań XVII i XVIII wiekiem.

O Adolfie Nowaczyńskim pisałem potem kilka razy, m.in. w roku 1958 zadebiutowałem w „Kierunkach” polemicznym tekstem o jego twórczości. Broniełem go przed atakiem Jana Zbigniewa Słojewskiego (późniejszego „Hamiltona”), zamieszczonym we „Współczesności”. W latach osiemdziesiątych opublikowałem o Nowaczyńskim esej w „Tygodniku Powszechnym”.

Zagalopowałem się, a tu trzeba wracać na trzeci rok studiów. Mieliliśmy nowe przedmioty. Wykłady z historii literatury polskiej w dobie romantyzmu prowadził bardzo emocjonalnie, a nawet impulsywnie, zmarły w kilka lat potem doktor Eugeniusz Santocki. Dojeżdżający z Krakowa magister Zbigniew Gołąb (po latach profesor w Stanach Zjednoczonych) ogromnie interesująco wykładał językoznawstwo ogólne. Jeszcze historia filozofii z profesorem Swieżawskim, ale nie pamiętam jego wykładów. Czyżbym na nie nie chodził? Błąd! Egzamin – po przewertowaniu dzieła Władysława Tatarkiewicza – zdawałem u doktora Mieczysława Gogacza.

Musieliliśmy też chodzić na wykłady profesora Stefana Kunowskiego z pedagogiki, a także na ćwiczenia z tego przedmiotu. Starsze roczniki, które miały studia dwuczęściowe, mogły wybierać specjalizację (na polonistyce prócz pedagogicznej była biblioteczna i edytorska). Nasze studia były tylko czteroletnie, z jedyną specjalizacją: pedagogiczną. Mieliliśmy z niej zajęcia także i na czwartym roku: metodykę – wykłady, ćwiczenia, kilka hospitacji w szkołach.

Na trzecim roku o mało co nie zostałem aktorem. Teatr Akademicki, po wystawieniu *Zwiastowania* Paula Claudela, przygotowywał, w reżyserii koleżanki Saneckiej, III Część *Dziadów*. Wieśka dała mi niewielką rolę, księdza Lwowicza. Nie nadawałem się do niej. Zagrał ją Franek Gajos (z seminarium powieściowego), który miał lepszy głos i wyglądał poważniej. Została mi po próbach znajomość na pamięć dużych fragmentów tej sztuki. Nadal ustawiałem z kolegami krzesła przed spektaklem: *Dziadów*, potem *Magii* Chestertona, wreszcie nawet rewii, której tytułu nie pamiętam. Ale zauroczenie teatrem trwa. Choć tylko w stopniu biernym.

W tym czasie po raz pierwszy usłyszałem nazwisko Wojtyła. Poszliśmy we trzech do Zakładu Filozofii, zwabieni afiszem zapowiadającym dyskusję na temat „filozofii uśmiechu”. Wprowadzenie do dyskusji było raczej średnie i nie dotyczyło żadnej filozofii. Nie było w nim też mowy o uśmiechu, tylko po prostu o tzw. manierach. Dyskusja okazała się nieco bardziej ciekawa. Brało w niej udział kilku księży. W pewnym momencie jeden ze świeckich dyskutantów powołał się na przedmówcę w sutannie: „Jak powiedział ksiądz Wojtyła...” Nie znałem takiego księdza, dlatego też wziąłem za „Wojtyłę” tego, który wypowiadał się przedostatni. Dopiero po latach zrozumiałem, że powołano się na wypowiedź innego z dyskutantów. Nie pamiętam więc z okresu studiów prawdziwego księdza docenta Wojtyły. Szkoda.

Pod koniec trzeciego roku, jakoś tak w maju, Koło Polonistów zorganizowało wycieczkę do Sandomierza. Pojechaliśmy dwiema odkrytymi ciężarówkami, niezbyt czystymi, dużą grupą wraz z profesorami – Sławińską i Zgorzelskim, z doktorem Starnawskim i jego małżonką, z magistrem Sawickim (miał na sobie tzw. pumpy, grał z nami w piłkę). Towarzyszył nam także doktor Antoni Maśliński, historyk sztuki, jako przewodnik. Po drodze zwiedzaliśmy kościół farny w Kraśniku, kościół klarysek w Zawichoście. W Sandomierzu mieliśmy spotkanie z rezydującym tam księdzem profesorem Pastuszką, który zrobił nam zdjęcie przed kościołem Św. Jakuba.

Piękna wycieczka. Niezapomniana. Dla mnie pierwsze spotkanie z Sandomierzem, w którym bywałem potem, aż po lata dziewięćdziesiąte, kiedy to mieszkało się w Domu Pisarza, na rogu Rynku, w posesji państwa Targowskich. Kiedy to brało się ze sobą wysokie buty, ostrogi i bryczesy, by pogalopować przez pola pod Sandomierzem, w Mokoszynie.

A teraz wreszcie czwarty rok studiów. Ostatni! Zajęć już mniej. Seria ostatnich egzaminów. W tym straszny: z historii literatury polskiej, z przegromnym zakresem – od romantyzmu do współczesności – i potworną liczbą lektur. Na szczęście miałem jakąś tam licealną jeszcze erudycję, zwłaszcza w zakresie literatury współczesnej, i sporo pamiętałem. Egzamin ten zdawało się u dwu profesorów – Zgorzelskiego i Araszkiewicza – w jednej sali. Obaj byli zgodni: można mi postawić piątkę, ostatnią na studiach.

Mieliśmy też wykłady monograficzne – Pani Profesor mówiła o współczesnym dramacie zachodnim, profesor Araszkiewicz o Sienkiewiczu, otwierając nam – a przynajmniej mnie – oczy na piękno narracji *Trylogii*. A jeszcze Jacek Woźniakowski (wówczas młody i niebrodaty magister, o którym

nie wiedziałem, że był kiedyś podchorążym 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa) wykładał dla nas estetykę. Nie było z tego egzaminów.

Za to trzeba było zdać egzamin ze współczesnej literatury rosyjskiej (nazywano ją „radziecką” – piszę to w cudzysłowie, uważam bowiem, że lepiej używać określenia „sowiecki”; po co tłumaczyć?), którą w pierwszym semestrze miał wykładać dojeżdżający z Wrocławia profesor Jerzy Pogonowski, oryginał co się zowie.

Wykłady były w planie. Profesor nie pojawiał się. Starsi koledzy powiedzieli nam, że przyjedzie pod koniec semestru, na tydzień może dwa, a także pocieszyli: Pogonowski pyta o tylko jedną, dowolnie wybraną książkę i stawia wszystkim piątki. Coś takiego!

Istotnie, profesor Pogonowski, jowialny starszy pan, zażywny grubas z laską, zjawił się w Lublinie chyba dopiero w grudniu. Ogłosił plan swoich wykładów, bodajże po sześć godzin dziennie, w auli. Byłem tylko na paru tych wykładach, raczej gawędach. Pamiętam, że na pierwszym z nich mówił o twórczości Gorkiego, robiąc wstawki o czasach Bolesława Chrobrego i o swoich przygodach pod Kijowem (w stopniu kaprała), w roku 1920, co raczej dziwnie brzmiało w roku 1954, podczas wykładu z literatury „radzieckiej”. Potem dowiedziałem się, że starszy brat profesora, porucznik Stefan Pogonowski, poległ bohatersko nad Wieprzem, prowadząc kompanię do natarcia w pierwszych godzinach polskiej kontrofensywy.

Egzamin ten zdawaliśmy któregoś wieczoru, w stołówce profesorskiej, we czterech: Edek Klein, Michał Łesiów, Staszek Mączewski i ja. Dzień wcześniej przeczytałem *Upadek Paryża* Ilji Ehrenburga. Edek coś innego, „na wszelki wypadek” prosił jednak, bym mu opowiedział moją lekturę. Ale gdy przyszło do egzaminu, mówiłem o *Piotrze Pierwszym* Aleksiego Tołstoja (jakby przeczuwając, że to kiedyś będzie moja epoka).

Każdy z nas wygłosił swoją kwestię, jednakże nie był to koniec spotkania. Profesor Pogonowski zaczął z nami rozmowę w konwencji swoich wykładów, a więc o literaturze, filozofii, religii, wspominał też różne osobliwe fakty ze swego życia. Na koniec wpisał nam piątki do indeksów. Nie mam pojęcia, czy nasza grupa tak mu przypadła do gustu, czy ze wszystkimi tyle gawędził. Musiałoby to trwać bardzo długo.

Na początku czwartego roku zamierzaliśmy nadal mieszkać w domu akademickim w dawnym, sześćoosobowym składzie, z Januszem Benderem jako gospodarzem (od poprzedniego roku mieliśmy już materace – szczyt luksusu!). Okazało się jednak, że nasz pokój został przeznaczony dla kole-

gów zagrożonych gruźlicą. Szukaj więc, bracie, innego *locum*. Każdy z nas wcisnął się gdzie indziej.

Dostałem łóżko w pokoju na drugim piętrze, wśród historyków sztuki. Jako bodaj siódmy lokator. Było trochę ciasno. Zaproponowałem więc, że zmontuję moje łóżko nad czymś, jako piętrowe. Zgodził się na tę propozycję Jurek Rozwadowski z Pomorza, którego znałem wcześniej, bo przychodził do naszego pokoju grać w karty. Naszym gospodarzem był Henio Jasiński, cioteczny brat Jurka, meloman i elegant (ale i dziwak – nigdy nie nosił krawata). Po pierwszym semestrze skończył studia i wyjechał z Lublina.

Mieszkał też z nami Jurek Żurawski, o którym już pisałem (dzięki niemu przez kilka lat korzystałem z pokoju gościnnego we dworze w Janowcu) i Anatoliusz Czerepiński, zamiłowany fotografik, mający za sobą kilka lat studiów medycznych, na które zresztą wrócił po ukończeniu historii sztuki. Był jeszcze Kazio Uszyński z młodszego rocznika, ale już wtedy żonaty. Mile wspominam to towarzystwo. Dużo mi dały rozmowy z nimi o architekturze, o malarstwie.

Nasz uniwersytet dopiero wtedy, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, zaczął wychodzić z zaścianka, w którym tkwił przez pierwsze trzydziestolecie swego istnienia. Zwłaszcza przed wojną, kiedy to był prowincjonalną szkółką dla teologów i prawników, z przydatkiem mało znaczących humanistów. Nowe wiatry zaczęły wiać około roku 1950. Na polonistyce dzięki Irenie Sławińskiej, Czesławowi Zgorzelskiemu, Stefanowi Sawickiemu.

Na historii w początkach lat pięćdziesiątych wykładali jeszcze dwaj starzy przedwojenni profesorowie: Aleksander Kossowski i Leon Białkowski, który zmarł jesienią roku 1951. Ale już wtedy pojawili się na KUL dwaj wybitni – choć niemłodzi – historycy: Andrzej Wojtkowski i ksiądz Mieczysław Żywczyński, obaj nowożytnicy. Historię starożytną wykładał wtedy Stanisław (hrabia) Los, przedwojenny dyplomata, świetny mówca i stylist, autor ambitnych esejów.

Jednakże dopiero dzięki Jerzemu Kłoczowskiemu nowe na dobre rogościło się na kulowskiej historii. Młody wówczas profesor, inwalida po powstaniu warszawskim, kawaler orderu *Virtuti Militari*, utworzył na KUL zespół mediewistów, stworzył szkołę historii Kościoła i geografii Kościoła w Polsce. Dobrze zaczynało się też wtedy dziać na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej, nieco później także na psychologii, na teologii – tu zwłaszcza po soborze. Uniwersytet zaczął być ceniony na terenie ogólnopolskim.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zwłaszcza za rektoratu wielkiego dominikanina, ojca Krąpca, wszedł do Europy.

A nam szybko minął czwarty rok studiów, rok akademicki 1954/55. Po ostatnim seminarium, w końcu maja, byliśmy zaproszeni – obie nasze grupy, „powieściowcy” i my – do Pani Profesor na pożegnalny wieczór. Wcześniej zrobiliśmy sobie kilka grupowych fotografii na dziedzińcu uniwersyteckim.

My, młodopolska cyganeria, wystąpiliśmy na tym wieczorku w czarnych kapeluszach i pelerynkach (wypożyczonych z seminarium duchownego, niby to „dla celów teatralnych”), w czarnych fontaziach zamiast krawatów. Każde z nas wręczyło mistrzyni kwiat, przedstawiając się nazwiskiem któregoś młodopolskiego pisarza (ja np. byłem Adolfem Nowaczyńskim, Edek – Lucjanem Rydlem itd.) i klękając do pasowania na „rycerza dramatu”. Wręczyliśmy jej też medal z tektury (młodość płocha...) z napisem *Ausae ducere ad magisterium tredecim asinos dramaticos* – Tej, co odważyła się prowadzić do magisterium trzynastkę dramatycznych osłów. Wisiał ten medal na biblioteczce w pokoju „Ciotki” przez wiele lat potem.

W kilka dni po tej uroczystości wyjechałem do domu, gdzie miałem czekać na wezwanie do wakacyjnej pracy w PZU, jako tzw. likwidator szkód gradowych (w praktyce więc czekałem na... gradobicie). Wtedy to, w Zamościu, akurat po procesji na oktawę Bożego Ciała, spotkałem na Rynku Alę Wojciechowską i Leona Miękinę. Wybierali się na wycieczkę w Roztocze, z Panią Profesor i kimś tam jeszcze. Przyjechali wcześniej do Zamościa, by zwiedzić Stare Miasto. Byłem przecież kiedyś przewodnikiem po Zamościu: ofiarowałem im swoje usługi, a potem zaprosiłem do domu, na kolację, nie troszcząc się, czy Matka ma co podać. Coś tam znalazła. Tego wieczoru zdecydowałem się pojechać z nimi. Pal licha PZU! Gradobicie może poczekać.

Nazajutrz rano pojechaliśmy pociągiem do Zawady, dokąd miała przyjechać z Lublina profesor Sławińska z resztą grupy. Przyjechała, ale tylko z Tadkiem Kłakiem. Naszym celem była maleńka stacyjka Susiec i tamtejsze okolice. Ruszyliśmy w lasy, nad potok Jeleń, nad Tanew, do słynnych „szumów”, gdzie Pani Profesor, oczywiście, zażyła kąpieli. Było wspaniale. Dziki, pusty las, puszcza właściwie, żadnych turystów poza nami. Raj!

Płyciutki, z piaszczystym dnem, potok Jeleń przeszliśmy w bród. Na środku rzeczki przyszedł mi do głowy wariacki pomysł: zaprosiłem Alę do tańca. Leon przytknął aparatem. Dostałem to zdjęcie od Ali Wojciechowskiej, pani doktorowej Jakubowskiej, dopiero w roku... 2001. Lepiej późno niż wcale! Dowiedziałem się też od Ali, że „Ciotka” boczyła się wtedy na nią (czemu nie na mnie?) za owo tańcowanie. Ona też lubiła tańczyć...

Mieliśmy wiele tematów do rozmów. Wypytywałem Panią Profesor o życie studenckie w Wilnie. Wtedy też chyba mówiła nam o prawdziwej rodzinie Śliźniów, z Wileńszczyzny, nie z sagi Gołubiewa. Alicja opowiadała smutne historie o Kazachstanie, dokąd zesłano ją z matką w roku czterdziestym. Ale nie umieliśmy się długo smucić. Nasza mistrzyni słynęła z zamiłowania do śpiewu. Wtórowaliśmy jej ochoczo.

Tak się złożyło, że do Suśca pojechałem ponownie dopiero po 46 latach. Spędziliśmy tam z Żoną kilkanaście dni. Szukałem śladów młodszej wyprawy, wspominając ją niemal co krok. Okolica wciąż pełna uroku. Ale czasy już nie te. Susiec z zapadłej wiošczyzny stał się niemal kurortem, bardziej przypominającym Leśną Podkowę czy coś w tym rodzaju niż wieś sprzed pół wieku. No i te śmieci! Pełno ich na turystycznych szlakach (w roku 1955, nie było szlaków ani śmieci). Serce się ściska. Nie te już czasy.

A wtedy, jakże dawno, ruszyliśmy z Suśca piechotą aż pod Krasnobród, nocując w jakiejś chacie na podłodze, jedząc, co tam kto miał w plecaku. Nazajutrz pociągnęliśmy do Zwierzyńca, skąd pod wieczór rozjechaliśmy się: oni do Lublina, ja do Zamościa, gdzie doczekałem się wezwania z PZU – nareszcie sypnął gdzieś grad.

Egzaminy magisterskie należało zdać do końca czerwca, w ostateczności zaraz po wakacjach. Po co taki pośpiech? Większość z nas – mimo oficjalnych zaleceń – dokonywała tej formalności jesienią, w zimie, albo i jeszcze później. Powody zwłoki bywały różne. Niektórzy istotnie mieli trudności z napisaniem pracy magisterskiej na czas. Ale dla większości z nas (płci męskiej) przedłużenie studiów na jesień było szansą uzyskania zaświadczenia uprawniającego do odroczenia służby wojskowej. Baliśmy się jej jak diabeł krzyża. Niepotrzebnie. To raczej wojsko bało się nas – wrogów ludu – i nie wzywało do spełnienia obywatelskiego obowiązku.

Przyjechałem zatem na ów niby to piąty rok studiów we wrześniu, pracowawszy lato w PZU. Miałem wreszcie własne zarobione pieniądze. Nie miałem jednak gdzie mieszkać. Utraciłem prawo do łóżka w domu akademickim, gdyż formalnie nie byłem już studentem (czemu zatem dawano nam owe zaświadczenia dla wojska? Nie wiem).

Szukałem stancji wspólnie z Andrzejem Szmidtem. Pomógł nam przypadek. Spotkaliśmy Andrzeja Czachora, Andrzejowego przyjaciela, studenta fizyki, który właśnie przenosił się na Uniwersytet Warszawski. A mieszkał w Lublinie. Wynajęliśmy zatem pokój u jego rodziców. Właściwie tylko łóżka w pokoiku zajmowanym przez dwu młodszych braci Czachora. Ale nie mieliśmy wielkich wymagań (ani wielkich pieniędzy).

Było nam razem dobrze. Szmidt miał wtedy nowe spodnie. Wydarzenie! Kupowaliśmy je we trzech, my dwaj i Józio Zięba. Wyszedł z tego *teatr dla siebie – commedia dell'arte*. Wybieranie, mierzenie... Cóż, byliśmy młodzi. Andrzej cieszył się jak dziecko. Nauczyłem go – na owej stacji – prasowania bez żelazka: zawinąć spodnie w koc, włożyć pod poduszkę. Rano kanty jak noże! Za tę radę dostałem potem od niego fotografię z dedykacją: „memu mistrzowi od kantów”.

Chadzaliśmy wtedy czasami z Andrzejem do kawiarni, do nieistniejącej dziś „Regionalnej” (dawniej Semadeniego), gdzie poznałem Pawła Trzebuchowskiego, do „Lublinianki”. Siadywaliśmy nad „małą czarną”, dyskutowaliśmy godzinami. Bywał z nami także Piotruś Kuncewicz. Niestety, akurat wtedy, jesienią roku 1955, zmarła matka Andrzeja, co rzuciło cień na nasze bez troskie bytowanie.

Uporałem się szybko z moją rozprawą (była prawie gotowa już przed wakacjami), oddałem maszynopis w dziekanacie i siadłem do nauki, a bardziej może do czytania. Pani Profesor, pytana o zakres egzaminów, mówiła: „poszerzona problematyka pracy magisterskiej”. „Poszerzałem” ją zatem, studiując w nieocenionym Borowianum młodopolszczyznę i międzywojnie: czasy Adolfa Nowaczyńskiego.

Egzamin wyznaczono nam na trzynastego grudnia. Edkowi i mnie. Nie byliśmy przesądni, trzynastka nas nie peszyła. Owego zatem popołudnia stawiliśmy się w uroczystych garniturach i krawatach u drzwi profesorskiego pokoju w nieistniejącym już frontowym skrzydle uniwersytetu. Od razu też umówiliśmy się: po egzaminie idziemy na kolację do „Europy”, „oblać” magisteria. Nie braliśmy pod uwagę ewentualności, że możemy nie zdać.

Edek odpowiadał pierwszy. Po godzinie wyskoczył z sali szczęśliwy, rozgorączkowany. „Bodziu! – zdążył mi szepnąć – życzę, żeby ci poszło jak mnie...” Wszedłem przed oblicze wysokiej komisji (prócz „Ciotki” zasiadał w niej, jako przewodniczący, profesor Andrzej Wojtkowski, znakomity historyk, i profesor Araszkiwicz, nasz recenzent) z duszą gdzieś w okolicy ramienia, choć niby to nie było się czego bać. Siadam. Czekam. Pada pierwsze pytanie: „Proszę nam przedstawić stan badań nad twórczością Adama Mickiewicza” – mówi profesor Sławińska. Krew uderza mi do głowy. A miała być „poszerzona problematyka”!

Zaczynam się gimnastykować. Coś tam pamiętałem z pierwszego roku, z ćwiczeń bibliograficznych u „Jureczka” Starnawskiego, trochę z wykładów o romantyzmie. Ale nie „pogłębiałem” tego tematu. Nie moja epoka! Wydobywam więc z siebie ten stan badań z jękaniem, z długimi chwilami

namysłu. Uff! Na szczęście dalsze pytania – już młodopolskie. Koniec. Proszą, bym wyszedł. Po chwili znów wzywają, mówią mi, że jestem magistrem. Co za radość!

Odprowadzamy „Ciotkę” do domu. Chwalimy się jej matce naszymi tytułami. Panie proszą na najbliższy wieczór: „na kolacyjkę i brydzyka”. Mieliśmy u naszej mistrzyni wyjątkowe prawa: Edek gościł ją z grupą turystów podczas wakacji w Dukli, ja urodziłem się w Wilnie, a w dodatku ciotka – polonistka – była jej koleżanką na Uniwersytecie Stefana Batorego. Nie przyszło nam – niestety – do głowy, by zaprosić poważną Panią Profesor (miała wtedy raptem czterdzieści dwa lata...) na wódeczkę i śledzika. Siedliśmy zatem we dwóch przy stoliku w restauracji „Europa”. Wypiliśmy. Zakąsiliśmy. Zjedliśmy bryzol z frytkami. Napiliśmy się kawy. Rachunek! A nazajutrz spędziliśmy miły wieczór u pań Sławińskich.

W parę dni potem żegnaliśmy Lublin, do którego w kilka miesięcy potem wróciłem na resztę życia. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że żegnamy nie tylko profesorów i kolegów, ale też młodość naszą, bo zaczyna się, jeśli nie dojrzałość, to przynajmniej samodzielność.

Zdawałem ten egzamin trzynastego grudnia. Przez wiele lat uważałem tę datę za szczęśliwą...

